MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 31. WARSZAWA, 17 LIPCA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

JAK TO BYŁO Z GRANICĄ WSCHODNIĄ?

PRASA SANACYJNA, poruszająca ostatnio dosyć często problemat odpowiedzialności za ustalenie linji granicznej na wschodzie, pod jednym względem ma słuszność: ustalenie tej odpowiedzialności jest istotnie palącą potrzebą.

Naród nie może żyć w nieświadomości co do ważnych faktów swoich dziejów, — zwłaszcza dziejów najświeższych. Bez względu na to, czy fakty te dadzą się odrobić, czy też są nieodwołalne, bez względu nawet na to, czy z możliwości odrobienia tych faktów chce skorzystać, czy też z tych czy innych względów z tego rezygnuje — naród musi wiedzieć, jak do nastąpienia tych faktów doszło. Naród musi żyć pełnią świadomości, — nie może błąkać się po fluktach historji, jak okręt bez steru i bez kapitana, nie wiedzący skąd i dokąd płynie.

W naszej świadomości dziejowej znajduje się kapitalna luka: nie wiemy, jak doszło do ukształtowania naszych granic wschodnich.

Na zachodzie — znamy w analogicznej dziedzinie każdy szczegół. Znamy z relacyj Dmowskiego i Seydy, z dokumentów ogłoszonych przez Filasiewicza, z tłómaczeń publikacyj cudzoziemskich (Dillona i innych) wszystkie fluktuacje targów wersalskich, dotyczących granicy polsko-niemieckiej. Znamy przebieg powstania w Wielkopolsce. Znamy perypetje plebiscytu górnośląskiego i późniejsze, wynikające z jego niejasnego rezultatu, wspierane walkami powstańczemi pertraktacje podziałowe. Znamy z grubsza tragedję plebiscytową na Warmji, Mazurach i ziemi Malborskiej. Znamy zmienny, zakończony rozstrzygnięciem połowicznem przebieg sprawy Cieszyńskiej. Może najmniej znamy przyczyny początkowego wadliwego postawienia sprawy Spisza i Orawy, — lecz jest to sprawa stosunkowo drobna, przytem dokładnie wyjaśniona, jeśli chodzi o jej przebieg dalszy.

Lecz na Wschodzie? — Z rzeczy istotnych nie wiemy prawie nic. Wiemy tyle, że przez myślące czynniki narodu postawiony został pewien program, wyrażony w t. zw. linji Komitetu Narodowego — i że program ten w szeregu bardzo istotnych punktów pozostał nieurzeczywistniony. Jak do tego doszło? Jak wielkie były opory zewnętrzne przeciw urzeczywistnieniu tego programu? Na czem one polegały? Czy istotnie nie można ich było przełamać — i dlaczego? I czy te opory zewnętrzne nie znalazły poważnego sukursu ze strony pewnych polskich czynników wewnętrznych? Czy ten sukurs nie przeważył szali? W szczególności — ile na tej szali zaważyła osobista polityka ówczesnego Naczelnego Wodza i kół od niego zależnych, — oraz wpływ nurtujących w tych kołach, mętnych i podejrzanych koncepcyj polityki t. zw. federalistycznej? Jaką wreszcie rolę odegrał niezorganizowany, lecz ważki czynnik partykularyzmu kresowego, — owego swoistego „krajowego" patrjotyzmu, którego nic nie obchodzi sprawa Pomorza i Śląska, sprawa Poznania i Krakowa, nawet sprawa Warszawy — i który dla swoich własnych celów, dla celu jedności byłego W. X. Litewskiego naprzykład — lub dla chimery kijowskiej, dla wprowadzenia w czyn marzenia o porwaniu węzłów między Kijowem a Moskwą, — gotów jest przekreślić lub narazić na niebezpieczeństwo cele polityki ogólnopolskiej nietylko na zachodzie, lecz nawet na wschodzie? Ze wszystkich tych spraw znamy szereg szczegółów, — wyczuwamy również zarysowujące się zgrubsza, ogólne linje istniejących w tych dziedzinach zagadnień — do gruntu jednak, do jasności takiej, która pozwala widzieć wszystko w należytych proporcjach i całkowitej dokładności, nie zdołaliśmy tam spenetrować nic.

Sprobujmy rozpatrzeć zgrubsza poszczególne punkty problematu naszych granic wschodnich, w których polski program narodowy pozostał nieurzeczywistniony.

1) Według projektu Komitetu Narodowego w Paryżu, granica polsko-sowiecka na południowym odcinku miała iść nie wzdłuż Zbrucza, lecz wzdłuż Uszycy, — dzięki czemu Kamieniec Podolski, Płoskirów i Starokonstantynów znalazłyby się w granicach Polski. Dzięki temu nie uległoby zgaszeniu tak intensywne ognisko życia polskiego, ja-

kiem był Kamieniec wraz z otaczającą go ziemią podolską, oraz nie zostałaby wydana na eksterminację bardzo tam liczna ludność polska, — w okolicach Płoskirowa, będących przedłużeniem polskiej wyspy etnograficznej Tarnopolsko - Trębowelsko - Skałackiej, stanowiąca większość ogółu ludności. Gdybyśmy byli uzyskali ten szeroki pas ziemi bardzo nawiasowo mówiąc żyznej i bogatej, o zdecydowanie polskiej cywilizacji i niezwykle mocno zrośniętej z naszą tradycją dziejową, tak wspaniale odtworzoną przez Sienkiewicza w „Panu Wołodyjowskim" — Galicja, odznaczająca się silnym rozrostem ruchu separatystycznego, zostałaby od Ukrainy naddnieprzańskiej odgrodzona dzielnicą jedną z najbardziej podatnych do całkowitego spolszczenia i zdolną zamienić się w przyszłości na polski wał etniczny nie do przełamania. — Ziemia ta zarówno przed inwazją 1920 roku, jak i po niej, była *de facto* w ręku polskiem. Wojska polskie opuściły ją (dobrowolnie), dopiero w wyniku układów ryskich.

2) Według projektu Komitetu Narodowego granica polsko - sowiecka na odcinku północnym miała biedz wzdłuż Berezyny, — dzięki czemu Mińsk Litewski, Słuck, a nawet Bobrujsk znalazłyby się w Polsce. Mielibyśmy wówczas dogodne i bezpieczne granice strategiczne od wschodu. Mielibyśmy pozatem w naszych granicach dość wybitne ognisko życia polskiego, jakie stanowi Mińsk i ziemia Mińska (która do pierwszej Dumy petersburskiej wysłała 7 Polaków na ogółem 9 posłów), — świat „Puszczy" Weyssenhoffa, świat szczerze polskich Reń i białoruskich, lecz wiernie do polskości przywiązanych Morozów. Choć może się to wydawać paradoksem (bo liczba Białorusinów w Polsce uległaby zwiększeniu, co powinnoby napozór kwestję białoruską zaostrzyć) — uzyskanie Mińska byłoby naszą wewnętrzną sprawę narodowościową białoruską złagodziło. Jak wiadomo, jedynem samorodnem ogniskiem ruchu białoruskiego było przed wojną Wilno. W Mińsku ruchu tego nigdy nie było, — gdyby Mińsk był został przyłączony do Polski, byłby on w dziedzinie narodowościowej środowiskiem niemal równie pozbawionem wszelkiej aktywności, jakim jest dzisiaj Pińsk, nie przyczyniający nam wszak żadnych kłopotów. Natomiast Sowietom, przez odebranie Mińska, wyrwanaby została baza dla stwarzania narodowości białoruskiej drogą sztuczną. — Dzisiaj wyhodowane zostało w Mińsku środowisko białorusko - sowieckie, które dla autentycznego ogniska białoruskiego w Wilnie jest atrakcyjne, podniecające wyobraźnię i tem samem (pomijając już podnięty czysto materjalne w postaci sukursu pieniężnego) — oddziałające w kierunku jego krzepnięcia i wzrostu. Gdyby Mińsk należał do Polski, gdyby nie został w Mińsku stworzony piemont białoruski po stronie sowieckiej (Połock, Witebsk, Mohylów czy Homel nie nadają się do tego, by je, tak jak dzisiaj Mińsk, na podobny piemont zamienić), — białoruskie środowisko wileńskie, promieniując na ziemię Wileńską i Grodzieńską miałoby mimo wszelkich subwencyj z za kordonu, dużo mniej wigoru i ambicyj ekspansywnych, niż ma dzisiaj. Tembardziej, że bezbarwna narodowościowo, zbliżona pod tym względem do Polesia Mińszczyzna i zwłaszcza Bobrujszczyzna, groziłyby żywotniejszym politycznie środowiskom białoruskim na zachodzie zupełnem odcięciem od wschodu na wypadek bynajmniej nie wyłączonego swego spolszczenia się po upływie jednego pokolenia. — Przed inwazją 1920 r. trwały front polsko-sowiecki biegł wzdłuż Berezyny — dając tem samem wyraz automatycznej tendencji granic strategicznych do układania się w naturalne, dyktowane ukształtowaniem terenu łożyska. Po inwazji wojska polskie nad Berezynę nie wróciły, — lecz bodaj że tylko polityka, nie strategja, była tego przyczyną. (Czyżby chodziło — w imię doktryny federalistycznej — o nieodrywanie Mińszczyzny od reszty ziem, mogących wejść w skład sowieckiej formacji politycznej białoruskiej?) Traktat ryski pozostawienie Mińszczyzny poza granicami Polski — zatwierdził.

3) Według projektu Komitetu Narodowego miało wejść w skład Polski miasto Dyneburg, wraz z całym południowym pasem dawnych polskich Inflant oraz wraz z położonym na lewym brzegu Dźwiny powiatem Iłłuksztańskim. Tym sposobem, nasze ziemie północno-wschodnie, dzisiaj geo-politycznie wiszące całkowicie w próżni, oparłyby się strategicznie o twierdzę Dyneburską i Dyneburski węzeł kolejowy — oraz oparłby się mocniej gospodarczo o wielką rzekę, jaką jest Dźwina, dziś całkiem przez nas nie wyzyskana. Gdyby Litwa Kowieńska w dalszym ciągu istniała — pozbawiona kontaktu via łotewski węzeł Dyneburski z Rosją, byłaby znacznie mniej niezależna niż jest dzisiaj i nie stanowiłaby w tym stopniu co dzisiaj, pomostu między Rosją a Niemcami. Obok tych wszystkich względów, rzeczą nie mniej ważną jest fakt, że ziemia Iłłuksztańska na lewym brzegu jest etnograficznie w przytłaczającej większości polska, że południowe Inflanty na prawym brzegu są polskie blisko w połowie, przyczem druga połowa są to Łotysze - katolicy, bardzo różni od zachodnich Łotyszów ewangelików i bardzo podatni do polonizacji, że dalej, miasto Dyneburg posiadało prócz Żydów przedewszystkiem ludność polską, że wreszcie cywilizacyjnie i duchowo cały ten kraj jest nawskroś polski, stanowiąc jedno z najbardziej jednolitych i najbardziej aktywnych ognisk polskości na kresach. Dzisiaj polskość w tym kraju, należącym dziś do Łotwy, jest prześladowana. Osłabiono ją bardzo zaraz po wojnie przez akty takie, jak wywłaszczenie polskiego ziemiaństwa (co nietylko zlikwidowało liczne i wysoce kulturalne polskie dwory, lecz wyrwało z kraju szereg polskich żywiołów, gospodarczo o dwory opartych), jak wydalenie z posad mrowia polskich kolejarzy w węźle dyneburskim i t. p. — Z natury rzeczy położono tamę procesowi polonizacji Łotyszów-katolików, — a nawet, w drodze umiejętnej polityki, zwłaszcza szkolnej, część najbardziej nieuświadomioną ludu polskiego włoczono w szeregi Białorusinów-katolików. Wreszcie przed rokiem całkiem bez osłonek uderzono w ludność polską, trzymającą się narodowo zupełnie nieźle i wysyłającą dwuch posłów do parlamentu w Rydze, frontowym atakiem gwałtownej polityki eksterminacyjnej, pojętej na modłę pruską. — Kraj ten jak wiadomo objęty był wkrótce po przewrocie przez wojska polskie. Stały tam w roku 1920 mocne polskie garnizony. Naczelne Dowództwo wojsk polskich, metodą zaskoczenia społeczeństwa, bez wiedzy polskiej opinji publicznej, bez pytania się o aprobatę sejmu, podarowało ten kraj ciepłą ręką i nawet bez żadnych osłabiających skutki tej darowizny zastrzeżeń (choćby w postaci układu o ochronie „mniejszości" polskiej) — Łotyszom. Łotwa dostała ten kraj bez cienia własnego wysiłku, — jak nieoczekiwany i niemarzony dar, spadający z niebios. — Wschodnia

część powiatu Iłłuksztańskiego nie była tą darowizną objęta. Gdy po traktacie ryskim wojska polskie zaczęły obejmować obszary północno-wschodnie, przyznane traktatem, a znajdujące się w ręku sowieckiem, — władze łotewskie, które w czasie inwazji bolszewickiej na Polskę czasowo teren ten okupowały, cofnęły się zeń, robiąc władzom polskim miejsce. Polskie władze wojskowe z niewiadomych przyczyn miejsca tego nie zajęły — wobec czego po kilku tygodniach władza łotewska ponownie ten etnograficznie nawskroś polski obszar objęły. Obszar ten był przez czas dłuższy teoretycznie obszarem spornym między Łotwą i Polską, — poczem i on został formalnie przez Łotwę anektowany i należy dziś do republiki łotewskiej.

4) Według projektu Komitetu Narodowego miał być z Polską politycznie związany (ewentualnie na zasadach autonomji) — teren dzisiejszej Litwy Kowieńskiej, pomnożony o miasto Lipawę z okręgiem. Z założenia, iż Kowno związane będzie z Polską, wynikły również uwieńczone powodzeniem zabiegi Komitetu Narodowego o odłączenie Kłajpedy od Niemiec, — oczywiście w tej myśli, że związana ona będzie następnie z Państwem Polskiem. — Cały ten program nie wyszedł jednak ze sfery zamierzeń. Nie pokuszono się ze strony polskiej o zlikwidowanie formującego się w Kownie, separatystycznego wobec Polski tworu politycznego litewskiego, — tak jak to zostało zrobione w stosunku do separatystycznego ogniska ruskiego w Tarnopolu. W przeciwieństwie do terenu wschodnio-małopolskiego, gdzie akcja na terenie Lwowa stała się punktem wyjścia do opanowania całego pozostałego obszaru dzielnicy, — na terenie litewskim ograniczono się do opanowania samego tylko Wilna z okręgiem, — nie czyniąc nic, nie wykazując żadnej zgoła ambicji, w kierunku zajęcia reszty kraju. — Nie wykorzystano nawet tej świetnej okazji, jaką stanowiło wmieszanie się tuż po inwazji bolszewickiej państewka litewskiego w walkę zbrojną z nami, — już nie mówiąc o całym następnym siedmioletnim okresie, gdy Kowieńszczyzna stała formalnie na stanowisku, że prowadzi z nami wojnę, który to, dla Polski taktycznie bardzo dogodny, bo dający dużą wobec Litwy swobodę ruchów stan rzeczy został dopiero w końcu r. 1927 osobistym wysiłkiem dyplomatycznym marsz. Piłsudskiego w Senacie ostatecznie usunięty. — Dzięki powyższemu brakowi aktywności ze strony polskiej wobec Kowna, urósł tam twór państwowy, początkowo wykazujący niemowlęcą bezradność i troskliwie niańczony przez niemieckich protektorów, utrzymujących tam przez czas dłuższy nawet własne garnizony wojskowe — z czasem jednak nabierający sił, dojrzewający politycznie i stający się czynnikiem politycznym — wrogim Polsce — coraz mocniej stojącym na własnych nogach. Ziemia, której lud ginąc w r. 1863 brał ochotny udział w polskiem powstaniu, która jeszcze tuż przed wojną wyglądała tak, jak ją nam przedstawił Weyssenhoff w „Sobolu i Pannie“, — w której we własnej stolicy (Kownie) jeszcze w długie lata po wojnie na obieralnem stanowisku prezesa rady miejskiej zasiadał Polak, — która zresztą posiada w swych granicach znaczne połacie ziem etnograficznie polskich (przedewszystkiem rozległy klin od Szyrwint aż niemal po Kowno), — ziemia ta jest dziś terenem prześladowań polskości, — terenem przeciwpolskiej polityki eksterminacyjnej, w niektórych swych objawach bardziej bezwzględnej, niż przedwojenna polityka pruska. Ziemia ta — cywilizacyjnie polska — zajmuje w konstelacjach polityki międzynarodowej stanowisko niezmiernie przeciwpolskie.

Oto są fakty na wschodzie, które zaszły wbrew polskiemu programowi narodowemu. W imię świadomości dziejowej narodu konieczne jest znalezienie jasnej odpowiedzi na pytanie, jak do faktów tych doszło.

Dlaczego nie zawarto pokoju z Rosją w okresie t. zw. rokowań Borysowskich? Czy zawarcie wówczas pokoju, na warunkach, odpowiadających polskiemu programowi terytorjalnemu, nie było możliwe? Dlaczego urządzono wyprawę na Kijów? Czy nie było możliwe zawrzeć „pokój Borysowski“ z Rosją — i całą siłą przystąpić wówczas do likwidacji separatyzmu Kowieńskiego? Dlaczego w kierunku opanowania Kowna nie czyniono w ogóle żadnych prób? Dlaczego nie czyniono ich nawet po odparciu inwazji rosyjkiej w 1920 roku? Dlaczego sprawę odzyskania Wilna po inwazji przeprowadzono w tak dziwny sposób? Jakie były motywy pozornego rokoszu gen. Żeligowskiego, oraz ukonstytuowania się Wilna jako odrębnej jednostki państwowej (Litwy Środkowej)? Dlaczego pewne złożone z Polaków kluby w sejmie wileńskim głosowały przeciw wcieleniu Wilna bez zastrzeżeń do Polski? Jakim sposobem się tak stało, że w analogicznych zupełnie sprawach Litwy i Małopolski Wsch. ze strony polskiej przeprowadzono zupełnie różną politykę? Czy gdyby w wewnętrznem życiu polskiem układ sił politycznych był wówczas inny, mogło się było zdarzyć, że poprowadzonoby wobec Kowna politykę na wzór małopolski, — albo odwrotnie, wobec Małopolski politykę na wzór kowieński? Dlaczego oddano Dyneburg Łotyszom? Dlaczego oddano im później wschodnią część powiatu Iłłuksztańskiego? Czy istotnie nie można było w Rydze uzyskać od Rosji zrzeczenia się Mińska i Kamieńca? Dlaczego ułatwiono Litwie — nawet skłoniono ją do tego — wycofanie się w r. 1927 na dalszą metę niedogodnej dla niej, a dogodnej dla nas formuły o wojnie z nami? Czy duża była w decydujących latach polityki wschodniej rola „obcych agentur“ — masońskiej i innych — w wewnętrznem życiu politycznem polskiem? Czy nie było może wówczas w Polsce elementów zdradzających, świadomie działających na szkodę Polski?

Na wszystkie te pytania nie mamy odpowiedzi. Opinja polska, dzieje Polski — odpowiedzi tej się domagają.

Wszyscy Polacy, którzy o sprawach tych cośkolwiek wiedzą — powinni wiedzę swą uprzystepnić ogółowi. Jeśli to uczynią — nagromadzony materjał pozwoli się zorjentować w całości zagadnień.

Nie mamy jeszcze pamiętników działaczy narodowych z Wilna z czasów Litwy Środkowej. Nie mamy pamiętników prof. Stan. Grabskiego, wybitnego uczestnika szeregu poczynań polityki wschodniej.

Lecz przedewszystkiem — nie mamy żadnych, absolutnie żadnych sprawozdań, relacyj, oświetleń— pochodzących ze strony obozu głównie za politykę wschodnią odpowiedzialnego, skupionego wokół osoby ówczesnego Naczelnego Wodza.

Na materjały te — czekamy.

WIEL.

ŁUP MEFISTA

PROFESOR Marjan Zdziechowski ma już swoją trwałą pozycję w dziejach polskiej umysłowości, także i uczuciowości, oraz niejednokrotnie wykazanej odwagi cywilnej. Tem bardziej przeto dziwi, kiedy tej miary mąż tak dokładnie się trzyma recepty Mefista... W „Przeglądzie Współczesnym“ (za luty) snuje on swoje refleksje i wspomnienia, wywołane trzecim tomem historji Bobrzyńskiego. Trudno mieć mu za złe, kiedy wyraża szczery żal za monarchją Habsburgów, za tą — jak podnosi — katolicką dynastją otoczoną szeregiem rodów arystokratycznych, państwem, które jedno dało Polakom rozwijać się swobodnie. Konserwatysta i katolik, jedno i drugie przyznać należy w najlepszym guście, prof. Zdziechowski jest tu w swojem pełnem prawie; tembardziej zrozumiałym jest entuzjazm dla Austrji u człowieka, który dzieciństwo i młodość spędził na Mickiewiczowskiej i po-mickiewiczowskiej Litwie, a w Krakowie pod skrzydłem galicyjskiej autonomji znalazł możność swobodnej pracy naukowej i patrjotycznego wyrażania się. Owszem, możemy sobie dziś pozwolić na dumanie o tych sprawach.

Nawet można tak powiedzieć: Nie w tem był mankament Austrji, że to było nie państwo narodowe, ale imperjum. Imperjum geograficznie usprawiedliwione, zwłaszcza jeśli idzie o stanowisko Dunaju, imperjum, które mogło być i historycznie usprawiedliwione, jako rzesza całego szeregu ludów, zagrożonych z jednej strony od moskiewskiego wschodu, z drugiej od Prus zachłannych. Przecież w roku 1848 Czesi—wbrew Polakom z Węgrami sympatyzującym — temi właśnie argumentami bronili trwania habsburskiej monarchji. Nie ma powodu potępiać samej w sobie idei imperjum. Owszem, przypuszczać wolno, że kiedyś, prędzej czy później, Europa, tak dziś poszatkowana nieznośnie, znów pocznie się zrastać w imperja. Ale jeden mały warunek: W imperja mające, w każdym poszczególnym wypadku, rację bytu. Otóż, co do Austrji, można sformułować, że było to imperjum, które z pewnych geograficznych i dziejowo-kulturalnych powodów mogłoby było mieć rację bytu, gdyby nie... jeden feler. A tym był fakt, że Austrja nie doszła do owej istotnej swej racji bytu, ale pozostała w połowie drogi: pomiędzy dynastycznem, federalistycznem imperjum równouprawnionych krajów i ras, a państwem narodowem niemieckiem.

Na tej sprzeczności załamała się monarchja Habsburgów—stawszy się ekspozyturą niemieckiego imperjalizmu, klinem niemieckim wbitym w słowiański masyw. I napewno z tej sprzeczności pochodził ten, tak znamienny dla niej fałsz, który się objawiał w tem, że wszędzie i wszystko wolno było mówić i śpiewać, charakteryzować się na narodowo, ale tymczasem pocichu, za kulisami tej barwnej nacjonalitarnej scenerji, stare kraje dziedziczne uprawiały wyzysk gospodarczy reszty państwa. Może zresztą sprzeczność ta nie była do uniknięcia, może to nie historyczna wina, ale historyczna nemezys—i to nie tyle z powodu obecności tak znacznej ilości Niemców, ile z powodu Madziarów, którzy, starzy najezdnicy pośród ożywającego słowiańskiego podłoża, najgłębiej zainteresowani byli w utrzymaniu stanu istniejącego i w podtrzymaniu germańskiego, antysłowiańskiego systemu. Gdyby jednak?.. Gdyby Austrja była zamarzyła o nowych, na północ, horyzontach? Państwo dwóch mórz, imperjum Bałtyk-Adrjatyk? Nie najmniej pociągająca wizja... Może dziś, cała europejska fizjognomja wyglądałaby inaczej? Ale historycy nie lubią takich „gdyby“, przypominających ponoć owe *dictum* o „cioci z wąsami“ — może niesłusznie zresztą, bo ileż w historji zależy od przypadku, zwłaszcza od przypadku osobistości wielkiej lub... małej?! Ale dość; jeśli nawet, czysto teoretycznie rzecz biorąc, idea imperjum Habsburskiego mogła tyle być sympatyczną Polakom, zwłaszcza, jak prof. Z., Polakom konserwatystom i Polakom z pod ucisku moskiewskiego, którzy tu pod Wawelem znaleźli bądź co bądź kawałek Europy, jeśli dalej umysły artystyczne mogły podobać sobie — (wyliczam to wszystko co na korzyść Austrji da się powiedzieć) — w tych wspaniałych, rożnorodnych dziedzinach monarchji, kędy pod jednem hasłem łączył się Wschód z Zachodem, od alpejskich począwszy lodowców, poprzez wiedeńskie i praskie baroki i rokoki, poprzez krakowskie renesanse, aż do huculskich i tatrzańskich watr i szatr i węgierskich stepowych csikosów, jeśli też ludzie o pewnym sentymentalizmie dobrze się czuć mogli w austrjackiej dość powierzchownej ale nie bez wdzięku kulturze Francjozefowej epoki, w tej specyficznej atmosferze austrjackiej, łatwej, wygodnej, szykownej, oficerskiej, sentymentalnowesołej, muzykalnej, salonowo-romantycznej, a to wszystko, ten salonowo - kostjumowo - muzykalny „uniwersalizm“; — (kołomyjki i Schubert, Strauss i czardasze, „Bartoszu, Bartoszu“ i *„O, du mein Oesterreich...“*) — w dobrotliwym cieniu potężnych monarszych bokobrodów; jeśli słowem Austrja miała swoje wdzięki i wabiki i, zgoła czysto teoretycznie rzecz biorąc, sensy swoje; jeśli, co ważniejsza, nie jeden z Polaków, przy najlepszej polskiej woli, mógł Austrję na serjo brać i dumać o polsko-habsburskiej idei — to jednak, *de facto*, były siły rzeczywiste, niemiecko-madziarskie z jednej, słowiańskie z drugiej strony, które na rozkład tego imperjum pracowały, znaczenie jego dla Polski podawały w wątpliwość nader poważną,—i byli Polacy, którzy w rzeczywistość patrzyli, dawniej już to wszystko przewidzieli i ocenili i wnioski stąd wysnuli, narażając się na podejrzenia i insynuacje. Przecież dopóki Kalisz nie zatargał trzewiami, iluż w Galicji miało Dmowskiego nieraz za kogoś od cara! P. Zdziechowski nie wydaje się doskonale odłączonym od podobnych nastrojów.

Ale *suum cuique*. Postępując jeszcze krokiem dalej w chęci zrozumienia filoaustrjackiej, podczas wojny N. K. N-owej polityki, nie waham się, pomimo dwóch ostatnich, dopiero co wypowiedzianych zdań, wypowiedzieć, że polityka ta była koniecznością dziejową i twórcy jej, są zupełnie czyści, przed historją i przed sumieniem. Cóż mieli uczynić politycy polsko-austrjaccy, tylą węzłów z państwem habsburskiem i osobą monarchy związani? Są pewne konsekwencje, którym człowiek przyzwoity musi się poddać, są historje osobiste, których nie można i nie wypada zbyt łatwo likwidować. Faktem jest, że Galicja była jedyną Polski dziedziną, gdzie pracowaliśmy w swobodzie. Ta praca swobodna, owe stosunki osobiste, owa współ-

praca polityczna z austrjackiemi sferami kierowniczemi, od dziesiątków lat trwająca, to wszystko była osobista historja mężów stojących na czele polsko-galicyjskiej polityki. Było absolutną niemożnością moralną, ażeby ci ludzie przerzucili się byli ku agitacji przeciwnej. Być może, że oni nie byli już Polakami w absolutnem znaczeniu, to znaczy Polakami, którzyby zdolni byli patrzeć ściśle rzeczowo na całokształt dziejowych interesów polskich w oderwaniu od szczególnych dziejów tej jednej dzielnicy polskiej, która ich wychowała, być może; ale i tu nasuwa się refleksja, na którą dziś już można sobie pozwolić, że jeśli Austrji zaczęło się już udawać wytwarzać z odrębnych żywiołów etnicznych i historycznych narodowość polityczną austrjacką — której jakąś dozę mieli już w sobie, w sercu swem, owi austro-polscy politycy — no, to trudno w tem dopatrywać się czegoś niemoralnego, owszem, raczej należałoby zazdrościć... Tutaj już się zaczynała druga rzeczywistość. Ale nie można zarzucać ludziom N. K. N-u, że się wyrwali gwałtownie z pierwotnej rzeczywistości polskiej, która była wszechpolską — i wskoczyli w austrjacką — co byłoby renegacją, zdradą — bo, właśnie, ludzie ci, mogli kiedyś snuć, a później już tylko wmawiać sobie *par force*, dla usprawiedliwienia przed sobą samym swej sytuacji — austropolskie marzenia, które jednak życie rozwiało. A nadto, zważyć trzeba, że politycy krakowscy, zbyt wcześnie postawieni zostali przed pewnym faktem dokonanym,—którym był wymarsz 6.8.1914 roku—ażeby mieli byli czas i możność rozejrzenia się w sytuacji i zachowania jakiejś w stosunku do rządu austrjackiego rezerwy. Przecież zaniepokojona głęboko opinja publiczna, ludzie zrozpaczeni, którym zabierano braci, mężów i synów i przez kordon prowadzono ich uzbrojonych tylko w słowa górne i piosenki, bez broni, bez ekwipunku, bez zapasów, bez nadziei ostania się jakiejkolwiek kozackiej watasze; prowadzono jakby na śmierć pewną wczesną i niesławną, a zbędną—odetchnęli dopiero wtedy, kiedy się utworzył N. K. N., zaopiekował się tymi straceńcami — co miało być chlubą wielu panów „romantycznie irracjonalnych" z piórami w ręku... i zrobił z tego, z tych „szaleńców" jakieś prawdziwe wojsko! Każdy, kto wówczas przypatrywał się tym wypadkom, kto wówczas już poprzez lśniącą kurzawę, słów bojowych i odezw datowanych z Warszawy, jako miejsca narodowego rządu, a grożących szubienicą „opornym" — przezierał w nicość przeraźliwą, co się poza tem wszystkiem słała—ten pamięta i przyzna, że powstanie wówczas N. K. N. było wprost aktem humanitarnym. Że N. K. N. za to wdzięczności nie uzyskał, owszem, był przez cały czas istną *bête noire* piłsudczyków, o której się nie mówiło inaczej niż z drwiną—to już tych ludzi sprawa: wszak oni znosili to z pokorą iście ewangeliczną... Dość, że w tych warunkach historyczno-moralnych i w tych okolicznościach przypadkowych, N. K. N-u jako organu polityki austro-polskiej nie mogło nie być—i dziś—gdyby to już było historją tylko—to Polacy będący od początku zwolennikami orjentacji zwycięskiej, dlatego zwycięskiej, że zgodnej z rzeczywistością pełną, a nie jakąś cząstkową—mogliby o tem wszystkiem mówić z całym objektywizmem i w poczynaniach tych dopatrywać się raczej dobrej i koniecznej strony, niźli retrospektywnie z niemi polemizować. Mogłaby być zgoda. Ale jak wiadomo, to jeszcze nie jest historja zamknięta, to wszystko trwa i działa (choć coprawda nawróconych wielu już).

Zdumiewająca dzieje się, i jedyna w swoim rodzaju rzecz, że zamiast żeby ludzie, którzy się pomylili, dla siebie domagali się zrozumienia jakiegoś i jakiegoś usprawiedliwienia, — oni właśnie i tamtych stawiają pod pręgierz historji! A sprzymierzeńców znajdują w ludziach, o bezstronności których i przenikliwości ich intelektu chciałoby się nie powątpiewać.

Że więc, jak się rzekło, prof. Zdziechowski, miał orjentację austrjacką, że jako konserwatysta i katolik ubolewa nad upadkiem Habsburgów, że jest przekonania, iż byłoby i dla nas i dla całej Europy lepiej, gdyby się państwo habsburskie było ostało, to wszystko może być w porządku i jest w porządku. Ale nie jest w porządku, kiedy dziś, po wszystkiem, po całej historji, w której okazało się, że Austrja była tylko knechtem niemieckim, pozbawionym zupełnie samodzielnej polityki, myśliciel Zdziechowski, powtarza za ekscellencją Bobrzyńskim, jak za panią matką, że z wybuchem wojny stanęło pytanie „po której stronie Austro-Węgier, czy Rosji, naród Polski stanie do boju" — co jest ordynarnem fałszowaniem historji, bo wybór był nie między temi dwoma państwami, ale między Niemcami, co już nam kości łamały, a światem zachodnim, Francją, do której instynktem rwały się serca nas wszystkich, nawet walczących dobrowolnie po stronie Centralnych, byle nie zdeprawowanych; to właśnie była samotność i tragedja Legjonów: straszliwa i upojna namiętność przelania krwi za Polskę, ale odrazu troska straszliwa i trawiąca, której nie wytrzymali niektórzy i w łeb sobie strzelali, że się krwią własną i pracą pogłębia grób ojczyzny; troska od której zgryzało się i dezelowało samo wojskowe męstwo i ambicja. Troska, która zaś wreszcie skończyła się ulgą radosną — (Rarańcza, Kaniów) — dzięki decyzji mężów niektórych, dziś jednak będących przeważnie—wywołańcami. Prof. Zdziechowski, nie był tu po naszej austrjacko-niemieckiej stronie frontu podczas wojny, i nie wie co się u nas — czuło—a to możeby go zreflektowało, bo dla niego moment uczucia — skoro nie moment objektywnej oceny sytuacji dziejowej — jest decydującym. Jeśli więc powołuje się uczuciowo na to „morze krwi rozlane między Polską a Rosją", zapominając o tępieniu nas przez Niemcy na Zachodzie, to niechże raczy przyjąć do wiadomości, że myśmy tu wszyscy, niemal wszyscy bez wyjątku, modlili się i wzdychali do zwycięstwa Francji, do klęski Niemiec, czem i Austrja oczywiście była objęta, że oddziały polskie c. k. armji, po pierwszych zapałach szły na front z przekleństwami — (choć i tak nie łamaliśmy przysięgi!) — że naszą słodką, nas w autrjackim „mantlu", rozmową była rozmowa nietylko o upadku Niemiec, lecz i o rewolucji w Austrji, która teraz podczas wojny, z pod gładkiej sierści i z miękkich łapek oswojonego kotka, wyciągnęła krwawe pazury starej lamparcicy i w ziemiach okupowanych i we własnej Galicji i wobec własnych „poddanych" dopuściła się niezliczonej ilości zbrodni i łajdactw — ażeby wreszcie uwieńczyć to haniebną przedzgonną swoją zdradą brzeską. Jej rzekoma zdolność do własnej „misji", do idei habsbursko — Polska — słowiańskiej, okazała się wtedy w całej swej nagości — nagości nadgniłego pół trupa.

Ale prof. Zdziechowski, który nie ma słowa „zdrada" dla tego postępku swej fałszywej pupilki—

nieboszczki, ma je zato dla kogo innego: „Pomimo klęsk, pomimo zdrady, delikatnie zaś mówiąc wycofania się sekcji wschodniej, w której przeważali narodowi demokraci“ prezes NKN. wytrwał na swem stanowisku i t. d. Bardzo to ładnie ze strony ś. p. Wł. L. Jaworskiego—i właśnie, według zasady *suum cuique* tłomaczyliśmy stanowisko tych działaczy. Ależ, panowie łaskawi, zdobądźcie się na *suum cuique* ze swej strony! Jeśli my możemy być zdolni do usprawiedliwienia tych Polaków, którzy wprawdzie w chwili zaniku rzeczywistości polskiej objektywnej, ale częściowo już zasymilowali się z interesami obcymi i którzy dlatego właśnie przegrali swoją stawkę— to jakiemże kaducznem prawem dziś jeszcze z tamtej strony ośmielają się, z łagodnym i tkliwym myślicielem wileńskim włącznie, ciskać haniebny zarzut i obelgę?! To trochę za dużo jednak. Prof. Zdziechowski idzie tu w ślady p. marszałka Daszyńskiego, który w podobny sposób traktuje ówczesną, jakże przewidującą rezerwę, znacznej już wtedy części Polaków galicyjskich wobec c k. monarchji. Alež ci wszyscy ludzie nie pamiętają, że w parę lat później oni sami to zrobili, tak samo niektórzy z nich czuli (Hołówko!) sami rozpuścili Legjony, sami szli za kolczaste druty pruskie, sami zorganizowali tajną akcję z frontem przeciw okupantom w pikelhaubach! Zrobili tak, bo siły rzeczywistości rzeczywistej, nie tej wymarzonej, okazały się silniejsze od nich samych, bo w jednych zwyciężył tajny instynkt, a wola sama zachowowczego instynktu narodowego drugich wzięła w swe karby, może wbrew im samym? Ale tych, co uczynili tosamo, tylko wcześniej od nich, ośmielają się nazywać, dziś jeszcze „zdrajcami!“ Niechże powiedzą i tłómaczą się, że „byliśmy cierpliwi“; zgoda, ale w takim razie dlaczegóż biliście w tych, którzy byli wtedy jeszcze cierpliwsi, w „*Wehrmacht*“ i w austrjacki „*Hilfscorps*“, kiedy pieceż właśnie tych ostatnich cierpliwość, cierpliwość—jakże podówczas tragiczna—opłaciła się Polsce?! P. prof. Zdziechowski o tem nic nie wie.

I znowu, za Bobrzyńskim, jak za panią matką pacierz. W sierpniu 1915 Niemcy zajmują Warszawę, a tu naród zamiast „zaważyć na szali losów“ pozostał nieufny, „Warszawa zawiodła“. Zawiodła nawet wtedy, kiedy Centralni głosili akt 5 listopada: „Pobudką do aktu 5.XI. była nadzieja, że wdzięczni za obietnicę (sic!). Polacy stworzą, biorąc legjony jako kadry, własne ochotnicze wojsko. Rozumieli aktywiści, że niepodległość bez armji, jest fikcją, że armja przeto jest koniecznością bez względu na to, kto zwycięży, gdyż w każdym razie Polska z armją i gotowym Rządem, więcej znaczyć będzie i łatwiej swe zadanie przeprowadzi, niż Polska w postaci bezkształtnej masy etnograficznej“.

O, Mefisto, djable inteligentny, widzę jak ci smakuje to zdanie politykującego filozofa-mesjanisty! Czy pamiętasz, jak w sierpniu 1915 jakiś młodociany poetka cukierkowy śpiewał: „Warszawa wzięta, stuletnie zerwane pęta“?... Teraz starcy i mędrcy b. ekscelencje i mesjaniści, coprawda nie w porę już, na tę samą śpiewają nutkę. Ależ raczcie panowie łaskawi spytać sami siebie: Czy nic nie wiecie o tych zamiarach złowrogich niemkich, którzy chcieli nas obrabować w Królestwie, zabierając najcenniejsze kawały węglodajnej ziemi i obrabować na Wschodzie, nad Bugiem i pętlę katowską nam założyć z pruskiego wału z jednej, z „niepodległej“ Ukrainy z drugiej strony? O zamiarach, które tylko dla tego skrewiły, że rozbici zostali i pobici? I czy nie wiecie, — choćby ze zbioru pamiętników wojennych waszego Sokolnickiego — jak liczył Ludendorf na tych kilka setek tysięcy polskiego żołnierza, który miał im pomóc do uniknięcia klęski na zachodzie, czyto w postaci pomocy bezpośredniej, czy tylko pośredniej, uwalniając ich korpusy wschodnie — (ale Niemcy nie głupi, żeby mieli byli zdjąć z nas swoją łapkę!) I czy nie wyobrażacie sobie, że to polskie wojsko organizowane, zbrojone, dyslokowane, ćwiczone, wyposażone przez Niemców, byłoby całkowicie od nich zależne, zależne fizycznie i zależne moralnie, i że gdyby nawet jakieś części jego chciały się buntować, te zwycięskie podówczas Niemcy byłyby sobie łatwo z nimi dały radę, i byłaby jeszcze jedna straszna polska tragedja. Ale naodwrót, gdyby Niemców polskie ich plany zawiodły i mimo nich przegrali — co prawdopodobniejsze — to jakżebyśmy wyglądali przy traktacie wersalskim — i wobec zwycięsców, że wtedy granice nasze byłyby mniejsze, że do strat obecnych przynależnych nam po sprawiedliwości terytorjów na Zachodzie, dołączyłyby się jeszcze większe straty — czy nie Lwów? — to napewno. I tak zbyt wielu przychylnych nie mieliśmy, cóżby było, gdybyśmy należeli byli do państw pobitych? Zastanówcie się nad tem, panowie dostojni, zanim się przyłączycie do nutek, co lżyły t. zw. bierne społeczeństwo!

Jakoś bez skutku pozostała ta lubieżna kokieterja „nadczułością i nastrojowością“ Polaków — (wstydem pali gorącym, kiedy to czytać!) — Niemiec nieprzystępny, hardy, nietkliwy na tkliwe żale, nie poszedł na ten handel — polską za żołnierzem tęsknotą, nie dal więcej niż mu w danej chwili dogadzało. A znów, z własnem społeczeństwem też się nie udało to romantyczne nadużycie (n.b. myślę nie o tem, jakoby romantyzm sam w sobie miał prowadzić do szaleństw, tylko o romantyzmie nadużytym, fałszywym). Masa polska szła za żywiołowem swem, instyktownem wyczuciem, gdzie jest niebezpieczeństwo ze wszystkich najgorsze. Wbrew wmawianej nam w obliczu stalowego szwaba, „nastrojowości“, okazaliśmy się wróblami zanadło starymi, aby iść na plewy, na słowa grzmiące, o „niepodległości“— pod obuchem i w pętli! — słowa — maski zapustne, aby dać się łapać na kaski czerwone ułańskie, na broń błyszczącą, pożyczoną nam na moment, na nasze własne zatracenie. Czyżby wtedy, kiedyby pora szwabom nadeszła kończyć z tą zabawą, pod pięścią szyderczego menedżera składać te pałasze i pokrwawione mundurki, demobilizować się w chwili, kiedybyśmy okazali się niepotrzebni i podejrzani, w otoczeniu mnogich, zwycięskich „sprzymierzeńców“, i nago już, bez masek żadnych i przystrojów iść w pętlę pruską w bezpłodnych odruchach rozpaczy ginąć — czyżby wtedy zaiste nie była to boleść, od której większej być nie może, boleść o ileż tragiczniejsza, niż owa tej garści młodzieży, która się przez jakiś czas czuła osamotnioną w społeczeństwie — co takiem współczuciem gniewnem przejmuje uczuciowego, i bezstronnego przecież profesora Zdziechowskiego. Do Bobrzyńskiego sprawiedliwości trudno apelować, skoro mu umysł jego tak przecież trzeźwy i bystry, zaślepia widocznie zawziętość wobec dawnych przeciwników.

Bronicie się żołnierskiemi tęsknotami? Zgoda. Bronicie się tem, że w każdym razie przydaliście

się na coś przy końcu wojny, bo były kadry gotowe? I to w porządku. Ale przyznajcie, że jeśli dziś co mamy, Polskę niepodległą naprawdę to m. i. też i dzięki temu, że się wam, na skutek oporu większości, nie udało zamierzeń waszych przeprowadzić aż do końca. Wtedy zgodzimy się. Ale taka mowa nie dla nich: Opuścić coś ze swej historji — legendy — to popuścić coś ze swych rąk.

Byłaby to zresztą miniona historja, nad którą niewartoby, dla świętej zgody, rozwodzić się. Ale ta historja trwa, słowa—frazesy, zrodzone w mroku niewoli, kędy się dróg szukało poomacku, takich czy owakich, słowa, które powinny były, jak tylko noc ustąpiła, puknąć, jak te wiatrem nadziane pęcherze — te słowa nie pękły, ale przetrwały, urosły, nabrzękły, jadu się najadły, wałęsają się po społeczeństwie i przysługują się do tłamszenia i eliminowania poza nawias narodowej pracy, iluż narodowych energij, a pomagają im poczciwcy, zresztą inteligentni: cud frazesu — łup Mefista.

SIMPLEX

GAZETY I CZYTELNICY

(Dokończenie)

II

CAŁY świat objęty jest kryzysem, ale w krajach mniej uprzemysłowionych ten kryzys nie jest tak ciężki. Nastąpiła dysproporcja między nagromadzonemi zapasami i produkcją *en gros*, a możnością zbytu. Rynek nie jest w stanie wchłonąć masowej produkcji. Przemysł prasowy radzi sobie w ten sposób, że powstają kartele i trusty. Przez skartelizowanie produkcji prasowej zwiększa nakład kosztem zmniejszenia ilości organów, a przez to zwiększa dynamikę ogłoszeniową. Ale i na tym prasowym odcinku produkcji zauważa się nadchodzące objawy kryzysu. Przyjdzie on nieuchronnie. Kryzys prasowy będzie cięższy w krajach uprzemysłowionych oraz odbije się bardziej na tych przedsiębiorstwach, które są pod względem „industrjalnym“ jaknajwięcej zmodernizowane. Widzimy to i w Polsce, że np. poniektóre gazety, zmodernizowane pod względem produkcji, walczą z trudnościami, podczas gdy inne, trochę „staroświecko” redagowane w paru pokoikach — prosperują, o ile dziś może co prosperować. Ale są tego zjawiska i inne przyczyny.

Zmienia się powoli stosunek do prasy bulwarowej i sensacyjnej. Wyższy poziom oświaty nietylko warstw ludowych, ale także inteligencji, wpłynie na to, że czytelnik będzie mniej szukał sensacji, a więcej faktów i opinji. W Danji niema prasy bulwarowo - sensacyjnej, ale tam każdy abonuje przynajmniej jedną gazetę, a czytuje kilka pism, zaś nakłady tygodników literackich dochodzą do kilkudziesięciu tysięcy. I to w tej Danji, która ma ludności dziesięć razy mniej niż Polska. Ale poziom oświaty jest tam wysoki, czynne są tam w dużej liczbie uniwersytety ludowe, które między innemi pracują i w tym celu, aby przygotować przyszłych czytelników gazet. Weźmy też do ręki stockholmski „*Social-Demokraten*“, socjalistyczne pismo sfer robotniczych. Na dwanaście stron wielkiego formatu osiem stron zajmują ogłoszenia. Mają widać „obieg“ te ogłoszenia firm przemysłowych w piśmie robotniczem. Przedewszystkiem dlatego, że klijentela robotnicza w Szwecji jest w stanie kupować.

Otóż to: aby ogłoszenie miało efekt, trzeba, żeby sfera czytelników danego pisma kupowała przedmioty oferowane. Kryzys gospodarczy wpływa na zmniejszenie dobrobytu. Nic nie pomoże ogłoszenie, jeżeli klijent nie ma za co kupić. Ten czynnik będzie stopniowo wpływał na zmniejszanie się ogłoszeń. To zmniejszenie będzie się potęgować i wskutek tego, że kryzys gospodarczy uniemożliwia działalność ogłoszeniową sfer handlowo — przemysłowych. Zmniejszenie się obrotów, brak gotówki, likwidacje, to nie jest atmosfera sprzyjająca temu, aby zwiększyła się liczba ogłoszeń w gazetach. Prowdopodobnie w każdym kraju utrzyma się niewielka ilość gazet o większym nakładzie. Gazety owe będą raczej komunikatami handlowemi i w nich będą się koncentrować ogłoszenia. Pozostałe pisma będą musiały zreorganizować swe podstawy produkcji i — redakcji. W związku z tem musi przedewszystkiem zostać zmniejszony koszt wytwórczości, a więc cena papieru (surowca), robocizny i t. d.

Uważny obserwator życia duchowego na zachodzie Europy, w Ameryce, także i Polsce, spostrzega, iż powoli, ale stale zmienia się stosunek czytelnika do gazety. Zmienia się nastrój społeczństw, ich napięcie nerwowe i charakter tego napięcia. Rodzi się coś w opinji społeczeństwa, co pewnego dnia może zadziwić kierowników przedsiębiostw prasowych. Prasa niemiecka, amerykańska, czy angielska jest opanowana przez kilku ludzi. Co się tyczy Wielkiej Brytanji, to A. G. Gardiner, poważny i znany publicysta angielski pisze: „Mało kto w Anglji zna ich nazwiska. A jednak wysyłają oni codziennie z samego Londynu dziesięć miljonów gazet do wszystkich zakątków kraju. Dają nam oni wiadomości, które sami uważają za pożądane. Nie dopuszczają do nas wiadomości, które im się nie podobają. Każą nam wierzyć w to, co im jest przyjemne. A jeśli zapytamy: kto oni, na jakiej zasadzie narzucają nam swe opinje? — to nie dostaniemy odpowiedzi poprostu dlatego, że tych ludzi nikt nie zna, oni sami nic nie dokonali, nic o nich powiedzieć nie można. Żaden z nich nie ma nazwiska znanego ogółowi. Są potęgą jedynie dlatego, ze zromadzili znaczny kapitał i ulokowali go w przedsiębiorstwach prasowych“. Podobnie jest mniej więcej w każdym kraju.

Ale sam kapitał nie wystarcza. Musi być przytem idea, idea pozytywna. Jesteśmy świadkami, jak się załamuje potęga państw przemysłowych. Nic nie trwa wiecznie, a my żyjemy w epoce przełomowej. Nic też dziwnego, że zjawiają się już pierwsze jaskółki, świadczące, iż czytelnicy coraz więcej będą poszukiwać pewnych wartości — *sit venia verbo*—intelektualnych, jakiejś opinji, ducha, a może i — postawy moralnej. Otóż to: postawy moralnej, tego nam bowiem brakuje, za tem ludzie

zaczynają tęsknić, jeszcze nieśmiało, prawie wstydliwie. Postawa moralna jest jedną z aktywnych właściwości duszy heroicznej, a czasy dzisiejsze wymagają—dla rozstrzygnięć—heroizmu moralnego.

„Daily Herald", angielski dziennik socjalistyczny, gdy był niezależny, posiadał duży wpływ polityczny, choć miał niewielki nakład. Gdy przeprowadził kapitalistyczną reorganizację i stał się pismem partji rządowej o dużym nakładzie, zaczął tracić swoje znaczenie polityczne. W końcu roku ubiegłego drukował przeszło miljon trzysta tysięcy egzemplarzy. Ale jak trafnie zauważył St. John Ervine (*„The Future of the Press"*, *Spectator*, 22.XI.1930), dziennik może mieć dwa miljony nakładu, a nie mieć wpływu, bo istotnym czynnikiem nie jest nakład, lecz duch, który pismo ożywia. Powinno to być wskazówką, w jakim kierunku jest możliwa reorganizacja przedsiębiorstw prasowych w Polsce, aby zdobyć i utrzymać czytelników.

Charakterystyczne są zmiany, przez które przechodzi angielski przemysł prasowy. Jest on wysoko postawiony, zmodernizowany. Trudności gospodarcze zmuszają go do kartelizacji. A z drugiej strony powstaje prasa prowincjonalna o niewielkich nakładach dzienników o kilkunastu albo najwyżej kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy dziennie. Gazety te mają dużo więcej istotnie wartościowych wiadomości i stoją na wyższym poziomie intelektualnym, niż naogół prasa londyńska. Taki dziennik jak *„Liverpool Post"*, świetnie redagowany, to prawdziwie poważne pismo ludowe w całem znaczeniu słowa, istotnie opinjodawcze, choć nakład nie przekracza pięćdziesieciu tysięcy egzemplarzy. *„Liverpool Post"* cechuje właśnie postawa moralna, której niema *„Daily Herald"*, bo jest to pismo socjalistyczne, wydawane przez kapitalistyczny koncern liberalny t. zw. *„Odhams Press Ltd."* Kapitaliści finansowali gazetę anarchistyczną *„Freiheit"*, bankierzy żydowscy dali pieniądze na założenie socjalistycznej *„L'Humanité"*, dlaczegoż angielski koncern kapitalistyczny nie może wydawać pisma socjalistycznego? *„Business is business"*. W październiku roku 1931 nakład wynosił 1.340.000 egz. Otóż to! Ma słuszność George Blake, gdy pisze, że większość gazet to operacje finansowe (*„The Press and the Public"*, zbiór *Criterion Miscellanny, Faber and Faber, London*).

Interesem dzienikarza — powiedział Bernard Shaw — jest mieć wiadomości, a nie mieć filozofji politycznej. Sądzę, że nastaną czasy, kiedy obowiązkiem dziennikarza będzie mieć — postawę moralną. Poziom etyczny po wojnie znacznie się obniżył, ale stan ten nie będzie trwał wiecznie, bo ludzie nie mogą być ustawicznie bandą zwierząt, rządząca się impulsem żołądka czy innej chuci. Istnieje etyka lekarska, prawnicza, wprawdzie mocno podupadła, musi istnieć także i etyka dziennikarza. Jeśli dziennikarz kształtuje nam nasze pojęcia, daje suggestje o świecie, urabia nasze „wnętrze", to sam nie może się kierować jedynie interesem swego koryta. Dziennikarze także muszą być ludźmi czystych rąk i dusz, trochę czyściejszych niż obecnie. Zdarzają się chlubne wyjątki i teraz, może jest ich więcej niż się zdaje, ale trzeba rozpocząć walkę z plugastwem, które systematycznie i podstępnie znieprawia duszę zbiorową.

Kryzys gospodarczy, który dotknął nasze społeczeństwo, odbił się i na prasie. Gdy sytuacja taka potrwa czas dłuższy, gazety odczują ten kryzys jeszcze dokliwiej niż obecnie, bo zmniejszy się sprzedaż, abonament, no i ogłoszenia. Zjawią się dążności koncentracyjne i redukcyjne jako remedjum. Przyjdą wtedy bardzo ciężkie czasy dla prasy polskiej, bo jej rynek zbytu i tak jest niezmiernie szczupły. Weźmy pod uwagę, że w Szwajcarji np. jedno pismo przypada na 9557 mieszkańców, podczas gdy w Polsce jedno czasopismo wypada na 130.000 mieszkańców. Jakież u nas małe czytelnictwo! Trzeba podnieść poziom oświaty.

Ale stosunek może ulec zmianie, nawet w okresie ciężkiego kryzysu, jeżeli pisma staną się środowiskami, promieniującemi wartości duchowe, a może, może i ...moralne. Dziś zauważa się zjawisko charakterystyczne, że czytają więcej półanalfabeci, czytają pisma sensacyjne, bo jest to dla nich podnieta duchowa, a inteligenci obywają się bez dzienników. Objaw symptomatyczny.

W dobie kryzysu, jaki przeżywamy, w okresie ciężkich czasów, które jeszcze idą, należałoby zrewidować dotychczasowy stosunek do czytelników.

A może wystarczy tylko wyczuć ducha czasu i ...wyjść naprzeciw.

WŁADYSŁAW WOLERT

Ś. P. JÓZEF WEYSSENHOFF

W DNIU 6 b. m. wieczorem zmarł w Warszawie Józef Weyssenhoff. Uroczystość jubileuszowa, połączona z nagrodą literacką, była jakby pretekstem, danym mu na to, aby mógł się pożegnać ze społeczeństwem, w którem żył lat 72, a 40 lat pracował.

Straciliśmy w Nim najprzedniejszego pisarza, jednego z tych nielicznych, którzy z naszą dobą spajali żywem ogniwem wiek XIX. Wobec młodego pokolenia pisarzy był legitymacją, na mocy której czasy przedwojenne domagały się od najmłodszych dla siebie respektu i — jak świadczy jubileusz — osiągnęły hołdowniczą jednomyślność. Nie odmówił mu nikt uznania, jako mistrzowi prozy.

Niejednokrotnie zamieszczaliśmy w „Myśli Narodowej" charakterystyki literackie twórczości Weyssenhoffa. W tym roku, z powodu jubileuszu pisał o Nim Z. Wasilewski (w nr. 11), a potem Stanisław Miłaszewski (nr. 27). Nad grobem znakomitego pisarza ograniczymy się do życia jego osobistego.

Urodzony 8 kwietnia 1860 r. na Podlasiu był synem barona Jana Weyssenhoffa i matki hr. Łubieńskiej, wnukiem zaś napoleończyka generała Jana Weyssenhoffa (pamiętnik generała zmarły teraz pisarz ogłosił w „Bibljotece Warszawskiej", 1902 — 1903). Józef Weyssenhoff kształcił się w gimnazjum IV w Warszawie, wydział prawny ukończył w Dor-

pacie (1879 — 1885). Jakiś czas potem gospodarował (niefortunnie) jako właściciel Samoklęsk w pow. Lubartowskim. W tych czasach dał się poznać jako poeta, mianowicie jako tłumacz Heinego („Tyg. Ilustr.", 1888). Zachęcony uznaniem literackiem, a zniechęcony do roli, osiadł w Warszawie i tu niebawem został współredaktorem (z D. Henklem) „Bibl. Warszawskiej" (1891 — 1896), w której też zamieścił szereg utworów beletrystycznych i artykułów. Dwa zbiorki poezji W. wyszły w latach 1894 i 1895 („Lyrica", „Z Grecji"). Dwa następne tomy: „Zaręczyny Jana Bełzkiego" i „Za błękitami" (z r. 1894), obejmujące jego artykuły i nowele, kończą okres przygotowawczy do właściwej karjery powieściopisarskiej.

Pierwsza powieść (1898) „Żywot Zyg. Podfilipskiego" zapewniła mu sławę. Cenił ją i nie nadużywał poczytności. Następna powieść „Sprawa Dołęgi" ukazała się 1901 r., dalej „Syn marnotrawny" 1904, „Dni polityczne" ukazały się częściami w latach 1905 i 1906. Zdobywszy rutynę, przyśpiesza pracę: „Unja" — 1910, „Hetmani" — 1911, tegoż roku „Soból i panna", „Gromada"—1913, „Puszcza"—1914 - 15.

Wojna ten rozpęd przerwała. Weyssenhoff wyjechał 1915 do Rosji, mieszkał przeważnie w Kijowie; wrócił 1918 z powieścią „Noc i świt". Potem napisał jeszcze trzy powieści: „Cudno" (1921), „Jan bez ziemi" (1930) i „Ulica" (1930). Wydał też bardzo ważny dla krytyki „Mój pamiętnik literacki" (1925), którego część ogłosiła „Myśl Narodowa".

Ś. p. Weyssenhoff jest interesującem zjawiskiem społecznem. Środowisko swoje odmalował w „Podfilipskim"; to wystarcza, aby zrozumieć, jaką niespodzianką było ofiarowanie się jego służbie pisarskiej. Jest to objawem wysoce dla cywilizacji naszej pomyślnym, że we wszystkich sferach społeczeństwa polskiego jednakie jest ciążenie do serca narodu. To, że przyłożył rękę do pługa kultury polskiej, ożywiło w pisarzu, zrazu dyletancie, zarody genjuszu polskiego, który przebił się przez martwe opony sybarytyzmu. I ten genjusz nie błądził, lecz utrafił w prąd, który Polskę cichym nurtem niósł ku odrodzeniu.

W tymże roku, co on, urodził się w chacie chłopskiej Kasprowicz. I on nie inną, tylko tę właśnie drogę odnalazł, że byli w rezultacie blizcy sobie, jak bracia, choć różne mieli style, z różnych pokładów dziejowych biorące początek. I tak zawse mogłoby być w Polsce, gdyby wszyscy piszący byli prawdziwymi Polakami. Do serca cywilizacji polskiej — równa odległość od wszystkich sfer. W tem rękojmia jej trwałości i świetnego jej rozwoju. W XIX w. jeszcze nie było dopływu sił intektualnych z ludu, a sfery Weyssenhoffa arystokratyczne obsługiwały z całą pokorą społeczną niemal wszystkie dziedziny tworzenia. Przypomnijmy nazwiska Czartoryskiego, Czackiego, Fr. Skarbka, Al. Fredry, Dzieduszyckich, Zygmunta Krasińskiego, Augusta Cieszkowskiego, St. Tarnowskiego, nie mówiąc już o tych wszystkich, którzy kolekcjami naukowemi i sztuki, bibljotekami, fundacjami wytworzyli aparat pomocniczy i warsztat dla nauki i sztuki.

Ś. p. Weyssenhoff był reprezentantem najwyższej kultury w Polsce nie tylko dla tego, że należał do „towarzystwa", ale że się poczuwał do roli gospodarza kraju. Był panem pewnego na świat poglądu, w którym nie brakło miejsca na naród i jego rolę dziejową. Młodzi krytycy stwierdzili, że większą wartość mają jego powieści, związane z życiem prywatnem i domowo-prywatnem, niż polityczne i robili mu zarzut, że nie trzyma się pierwszego z tych terenów. Tymczasem było potrzebą jego duszy dzielić się między te dwa światy.

Tematy „Sobola i panny" albo „Puszczy" są dla poety łatwiejsze, ale też i dla czytelników z dość niewytrawną kulturą społeczno-polityczną — ponętniejsze. Tutaj jednostka, odczuwająca krajobraz i liryczne akcenty przeżyć, bez wysiłku umysłowego dostępuje rozkoszy estetycznych; na wyższym zaś poziomie przeżyć wobec tematów życia zbiorowego, gdzie bohaterem jest naród, potrzebna jest wyobraźnia złożona, na myślowo konstruowanych przesłankach oparta. I dla autora teren trudniejszy, i czytelnikowi (a krytykowi) mniej ponętny, skoro przywykł do łatwych wzruszeń estetycznych. Temperatura uczuciowa wydaje się tu niższa, albowiem uczucie musi tutaj ustępować wiele miejsca refleksji, a gdzie refleksja, tam rozbieżność w sądach, dysharmonja.

To, że Weyssenhoff brał na stalugi takie tematy, to dowód rozległości jego zainteresowań, raczej dyspozycyj psychicznych po kulturalnych przodkach. Był przecież dzieckiem niezbyt wytrawnego w kulturze społecznej narodu; nie obracał się w tej sferze zagadnień tak swobodnie, jak w sferze pejzażu, polowań i życia towarzyskiego. Ułatwiał też sobie zadanie prostemi metodami artystycznemi: bądź (jak w „Dniach politycznych") przez skupianie promieni życia w bohaterze obranym (Budziszu) i przełamywanie ich w pryzmacie ironji, bądź też, gdy tamto nie zawsze się podobało — przez kreowanie postaci mistycznej, niby ciała astralnego (Piasta), któremu przypadała rola Ducha Narodu. Tu uznawał za możliwy estetycznie patos. To też nie zawsze się podobało.

Tę drugą metodę zastosował do powieści z czasu wojny „Noc i świt", z czasu, kiedy w oczach każdego prawego Polaka stawało w zorzach widmo Polski, a prawdziwy poeta—Weyssenhoff czy Kasprowicz — o niczem nie mogli myśleć tylko o Polsce, jako czemś, co w oczach ożyje. Być może (bo czyż można brać tu za miarę wartości powodzenie u przeciętnego czytelnika?) powieści tej gategorji mniejszą mają moc artystyczną; ale ileż lepszą miałyby opinję, gdyby ich nie poniżała tak uporczywie krytyka tych, którym nie metoda artystyczna, ale rzecz sama była przykra, sam Piast, sama idea Polski, samo jej zmartwychwstanie!

Schedę pisarską po ś. p. Weyssenhoffie skarbnica literatury polskiej przyjmuje, jako dobrodziejstwo, z całem dobrodziejstwem inwenrarza bez wyboru. Bo w całości swojej jest dokumentem talentu, obywatela i epoki, skarbem przeżyć narodu.

Na grób wielkiego pisarza szedł za trumną korowód postaci, które on stworzył i które żyć będą przez wieki. Szli Podfilipski ze swoim służącym, Budzisz i Dołęga, Kołczanowicz, Zbąski, Zbaraski, Dubieński, Michał Rajecki, Moroz — czyż mam wymieniać wszystkich? — Szły z kwiatami Halszka, Falbanka, Warszulka, Renia, a za orszakiem niewidzialny nikomu, a tak blizki Zmarłemu — sam Piast.

Oto zmarł człowiek, który wiele widział i nic nie zataił, bo danem mu było pokazywać narodowi, czem jest, co ma w sobie tępić, co podziwiać, co kochać.

Salve Regina...

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

O KONSZACHTACH NIEKTÓRYCH POLAKÓW Z NIEMCAMI dowiedzieliśmy się z gazet zagranicznych. W zeszłym n-rze przytaczaliśmy pytanie p. Sanvoisin, wystosowane w tej sprawie do Paderewskiego. Pomówieni o to sanatorzy wileńscy w liście, ogłoszonym przez red. Mackiewicza, wyparli się wszystkiego. „Polonia" z tego powodu pisze:

„W sprawie tej niezawodnie zabiorą głos także i współpracownicy paryskiej *„Republique"* i *„Vossische Zeitung"*. Nie sądzimy, aby oba te pisma wyssały sobie ot tak z palca swoje sensacyjne informacje. Wierzymy p. Mackiewiczowi, że on nie paktował z junkrami wschodnio-pruskimi, ale to nie wyklucza rozmów innych jakichś niepowołanych polityków z kół prawicy sanacyjnej. W tym wypadku potrzebne byłoby wyjaśnienie Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, a nawet samego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdyż zdaniem naszem powinno ono zareagować na kompromitujące jego wysokiego dostojnika pytanie, które zadał p. Paderewskiemu redaktor *„Figara"*. Od siebie zaś możemy dodać, że nie powtórzyliśmy lekkomyślnie wiadomości podawanych przez prasę zagraniczną o zbliżeniu naszych konserwatystów wileńskich do Niemiec na terenie tworzenia frontu francusko-niemiecko-polskiego, zwróconego przeciw Rosji bolszewickiej. Zwróciliśmy się poprzednio do naszego męża zaufania w Paryżu i tam nam w kołach t. zw. „Młodoturków", wydających *„Republique"*, powiedziano, że swoie wiadomości czerpią ze źródeł konserwatystów wileńskich. Nasz mąż zaufania jest człowiekiem poważnym"...

Sprawa staje się bardzo interesującą. Może p. Zaleski wyjaśni ją w jakiś sposób.

INFORMACJE PRASY SANACYJNEJ pod względem wiarogodności stoją na wysokości zeznań oskarżonych z placu Kercelaka. P. Majbaum w „Słowie Polskiem", znany z braku dowcipu, postanowił pokazać, że ma dowcip i w nr. 185 ogłosił relację z Wadowic o tem, jak to „Obwiepol gromił nożami endecję". Poprostu przysięga na to, że grupa z Obozu Wielkiej Polski, będąca częścią składową stronnictwa Narodowego, napadła uczestników wiecu stron. Narodowego, poraniła nożami, zmasakrowała i t. d. Tymczasem był to napad bojówki sanacyjnej, z góry uplanowany na jakiejś „dintojrze" sanacyjnych działaczy „w terenie".

„Głos narodu" (nr. 182) pisze z tego powodu:

„Jeszcze raz stwierdzamy, że wiec został rozbity przez bojówkę sanacyjną i wśród okrzyków „Niech żyje marsz. Piłsudski"! Nazwiska członków „Strzelca", który brali udział w napadzie, znane są powszechnie i chyba zajmie się nimi sąd, bo ze względu na ciężkie poranienie prelegenta, sprawa jest zbyt poważną, by można ją było zlekceważyć. Napad był zgóry uplanowany. O wiecu Stron. Nar. powiadomione zostały oddziały „Strzelca" nietylko w Wadowicach, lecz w całej okolicy. A na wiec przyszło dużo miejscowych sanatorów z komiarzem rządowym na czele."

Bohaterzy z Kercelaka w sądzie podobnie się tłumaczą, jak sanatorzy przed sądem opinji. Tam nie bandyci napadali, lecz kupcy bili się między sobą. P. Majbaum jest też radnym miejskim tak, jak Tasiemka.

INFORMACJE SYMPATYCZNEJ PAT-icznej (Polskiej Agencji Telegraficznej) znowu zaalarmowały społeczeństwo. Tym razem Obóz Wielkiej Polski napadł w Gdyni na Sokołów! W Wadowicach rzeczony Obóz napadł na Stronnictwo Narodowe, które się zebrało celem uchwalenia rezolucji antygermańskiej; teraz znowu w Gdyni stoczył walkę z Sokołami, demonstrującymi przeciw Niemcom. Czyżby OWP. był organizację progermańską?! Podczas upałów trudno cokolwiek rozumieć, a tutaj PAT-iczna jakby uwzięła się na rozum ludzki.

Nazajutrz wszystko się wyjaśniło. Obóz W. P. bynajmniej nie napadał na Sokoła; wręcz przeciwnie nie chciał pozwolić policji na to, aby go od Sokoła w pochodzie separowano. W tumulcie pękła zamknięta brama, kogoś zmiażdżyła. Będzie sprawa sądowa. Dzienniki rzecz wyjaśniające pokonfiskowano.

Szkoda wielka, że sprawy taki obrót biorą. Manifestacje antyniemieckie na ziemiach, Niemcom wydartych, robiłyby wielkie wrażenie swoją żywiołowością, gdyby odbywały się w harmonji z władzami, czerpiącemi moc swoją z jednania się ze społeczeństwem. Daleko większe zrobiłyby wrażenie, niż manifestacja na placu pod ogrodem Saskim w Warszawie, urządzona 12.VII przez prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego, płk. Góreckiego.

Jakie to wszystko małe i dwuznaczne!

W SPRAWIE SZERZONEJ DRUKIEM DEMORALIZACJI wydał opinję XII zjazd katolicki w Kępnie w rezolucji tej treści:

„Zebrani potępiają wpływ demoralizacji, przejawiający w publicznym bezwstydzie i atakach na moralność katolicką przez pisarzy tego pokroju, co B o y - Ż e l e ń s k i i autorów jak K o s t e k - B i e r n a c k i, oraz szerzeniu przestępczości i demoralizacji wśród młodzieży przez piśmidła tej wartości, co „T a j n y D e t e k t y w".

„Tajny detektyw" jest pismem popularnem, wydawanem przy „Il. Kurjerze Codz." przez posła sanacyjnego Marjana Dąbrowskiego. Teroryzuje on tak Kraków i okolicę, jak Tasiemka na Kercelaku, zarabiając przytem pieniądze szerzeniem demoralizacji. Przeciwko tej kryminalnej działalności posła wystąpił nawet sanacyjny „Przełom". Rycerza tego plugawego przemysłu „Przełom" nazywa kawalerem *sans foi ni loi*, który nie cofnął się dla zysku przed organizowaniem aparatu wydawniczego,

„z którego na całą Polskę wylewa się cuchnąca ciecz kryminału, smrodu, domu publicznego, handlu żywym towarem, przemytnictwa, zboczeń seksualnych, narkomanji. Brudną, plugawą szmatę kupują za parę groszy piętnastoletni chłopcy i piętnastoletnie podlotki, czyta młodzież szkolna płci obojga. Nie chce się wierzyć, że człowiek, żyjący z takiego procederu, piastuje dotąd mandat poselski, przedstawiając tem samem publicznie ideę polityczną klubu, reprezentującego myśl pastwową... Pan Marjan Dąbrowski dobrze i rychło wczas pojął swoją rolę chama w awangardzie szykującej się do skoku reakcji, pachoła, który moralnie masy społeczne rozbraja, wskazując drogę do. . lupanaru".

„Przełom" domaga się wkroczenia władz w tę sprawę, a nadewszystko odebrania Dąbrowskiemu mandatu. „Za dużo nieprawości..." takie słowa padły w r. 1926 pod innym adresem. Tymczasem sprawa sanacji wzięła taki obrót, że gdyby nie odpór opinji obozu narodowego, system Tasiemkowy zamieniłby cały kraj w ruinę moralną.

DZIWNY ZBIEG OKOLICZNOŚCI. W trakcie rozpraw sądów doraźnych w Warszawie nad zabójcami Gertera i H. Dembińskiego ujawniło się, że wspólnik Sobieraja Schmidt brał przed paru laty udział w napadzie na b. ministra śp. Jana Dąbskiego (prezesa Stronnictwa Chłopskiego). Morderca zaś Dembińskiego T. Kujawski, młodzieniec z Legjonu Młodych, uczestniczył w napadzie

na Adolfa Nowaczyńskiego. Pokazuje się, że działalność polityczna tych bandytów miała rozległy zasiąg i miała swoje odcienia w zadaniach. Dąbski wskutek pobicia rozchorował się i umarł — to prawda, ale Schmidt go nie „wykończył“. Tak samo z Nowaczyńskim: tutaj misja Kujawskiego i towarzysza miała się ograniczyć do wybicia oka.

Z Gerterem i Dembowskim było inaczej. Oni musieli być „zrobieni“, inaczej mówiąc „wykończeni“. Doszliśmy teraz w świecie politycznym do nowej wiedzy zarówno technicznej, jak i językowej. Bez dobrego obeznania się z kryminalistyką nie można być dzisiaj publicystą.

NAUKA I LITERATURA

WSPÓŁCZESNY POLSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

OPATRZONY w nagłówku nazwiskami dwu profesorów Uniw. Poznańskiego: A. Peretiatkowicza i M. Sobeskiego, ukazał się świeżo, pod nieco dezorjentującym tytułem „Współczesna kultura polska“ — słownik bio i bibljograficzny żyjących naszych uczonych, literatów i artystów (Poznań 1932, str. 319).

Pomysł przedni! Trudno dziś pracownikowi na każdem niemal polu obyć się bez takiej książki. Niemcy od lat wielu mają znakomitą „Minerwę“, a i u nas, wbrew temu, co czytamy w przedmowie, bynajmniej to nie pierwszyzna. Pomijając osiemnastowieczne dykcjonarze Janockiego, Jochera, Załuskiego, wiek ubiegły dał dwutomowe, doskonałe „Życiorysy znakomitych ludzi wsławionych w różnych zawodach“ K. Wł. Wójcickiego (1849), dalej rzeczy Chodynickiego, Juszyńskiego, Szymanowskiego Wojciecha i Rogalskiego Leona. Przypomnieć tutaj należy parę roczników „Kalendarza Przeglądu Tygodniowego“ (około r. 1880), w którym A. Wiślicki otworzył dział słownika literatów, oparty na materjale autobiograficznym. Nowsze czasy przyniosły dwa cenne Albumy pisarzy polskich współczesnych — Stefana Dembego (1898, 1901), Rocznik naukowo-literacko-artystyczny W. Okręta (1905), zakresem szerszy od pracy omawianej; wreszcie Stanisława Lama „Współcześni pisarze polscy“ (literatura i krytyka, 1922), to bliżsi lub dalsi antenaci, obecnego słownika.

Jakże się on prezentuje? Opracowany całkowicie i wyłącznie na zasadzie nadesłanych autorskich odpowiedzi, z których wybrano rzeczy tylko najważniejsze (przeciętnie 15—30 wierszy druku na osobę), stanowiłby niewątpliwie zbiór cenny, gdyby... i tu się nasuwa długi szereg różnolitych zastrzeżeń, które najzwięźlej zsumujemy: Rozesłano 2150 zapytań do uczonych, literatów i artystów. Nie udzieliło żadnej odpowiedzi 736 osób! Więc procent olbrzymi, nasuwający przeróżne refleksje. Nie odstraszyło to jednak autorów od publikacji.

Postąpili przecież bardzo nierozważnie. Jakąż wartość ma książka pt. „Współczesna kultura polska“, z której niemożna się n i c z e g o dowiedzieć o nazwiskach takich, jak np. Berent, Al. Birkenmajer, Boznańska, Brückner, Dunikowski, ks. Fijałek, W. Gąsiorowski, Grzymała-Siedlecki, Kaden, Z. Kawecki, prof. Klinger, prof. Kot, prof. Leśniewski, prof. Pini, Nowaczyński, Przesmycki, Rodziewiczówna, K. H. Rostworowski, Staff, Stryjeńska, Strug, Szczucka-Kossak, Szukalski, prof. Wędkiewicz, Wołoszynowski i wielu innych?!

Należało albo wstrzymać się z wydaniem, albo — co było rzeczą nietrudną, brakujące życiorysy uzupełnić. Wiadomo oddawna, że największy zbiór autobiografij posiada dyr. Stefan Demby, przygotowujący obecnie wielki bio-bibljograficzny słownik pisarzy polskich. Autorzy poznańscy ubiegli go wprawdzie, ale dla kultury polskiej korzyść zdaje się przez to niewielka. Dodajmy, iż nazwisko p. St. Dembego wogóle pominięto. I tu przechodzimy do drugiej kardynalnej wady: pominięć.

Mnóstwo osób (w tem duża ilość profesorów uniw.) nie odpowiedziało, ale do bardzo wielu nie zwrócono się wogóle z zapytaniem. Dotyczy to zwłaszcza młodszych pracowników naukowych i docentów (chociaż w przedmowie o docentach czytamy), a także literatów. Niema więc np. doc. St. Cywińskiego z Wilna, dra Pawła Kucharskiego z Paryża, znanego w świecie psychologa, niema Stanisława Pieńkowskiego, autora kilku książek, ani czcigodnego Bol. Limanowskiego, rzeźbiarza Lewandowskiego, Wojciecha Kossaka, St. Adamczewskiego, A. Rybickiego, W. Rymkiewicza, Edw. Chwalewika, Kaz. Piekarskiego, Siemaszkowej, Zaniewickiego, Rygla, ks. Kantaka, doc. W. Tomkiewicza i wielu innych, dziś szerszemu ogółowi mniej znanych, zasługujących na wciągnięcie w ramy słownika. Tembardziej, iż zwrócono się jednak łaskawie z prośbą o odpowiedź np. do pp.: Glicensteina (!), Hemara (!), Kislinga, Markusa, Mutermilchów, Szyka, Belmonta (!), Napierskiego (!), Gliwica, Gotlibów, Wajnberga, Walfisza, Salza, Schorra, Kułakowskiego i t. p.

Dalsze zarzuty dotyczyć muszą niejednolitości i wielkiej niedokładności opracowań, częstokroć zbyt pobieżnych i ogólnikowych, co wypłynęło ze zdania się wyłącznego na nadesłaną odpowiedź. Osobną rubrykę stanowić muszą błędy druku: np. Lechoń ogłosił „Karmajnas“ (!), błędnie nazwisko: Bickowa (str. 12) i in. Wreszcie niesłuszne było pominięcie działu publicystyki; w końcu zaś dodajmy, że wybrano nieodpowiednie dla książki czcionki.

Bezstronność wszelako nakazuje podkreślić, iż mimo całego morza błędów, braków, opuszczeń i pominięć, książka ta oddać może wiele cennych usług i wielu też zapewne będzie wzdychało do lepszego, drugiego jej wydania.

P. G.

POLONISTYKA WILEŃSKA

KOŁO POLONISTÓW Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie zaznaczyło dziesięciolecie swego istnienia pokaźną i starannie przygotowaną księgą pamiątkową, która ukazała się właśnie jako zeszyt drugi Bibljoteki czasopisma *„Alma Mater Vilnensis“*.

Z zainteresowaniem przyglądamy się owocom pracy polonistyki wileńskiej i gratulujemy serdecznie rezultatów już na pierwsze dziesięciolecie osiągniętych. Spostrzegamy jedno: wszystkie zebrane w księdze prace wyrosły z epoki romantyzmu. Wszystkie analizują elementy kultury literackiej i artystycznej tego właśnie okresu. Widać Wilno powraca szczególnie chętnie do czasów, których samo *magna* zaprawdę *pars fuit*. Na przestrzeni księgi, wśród prac ogłoszonych, spotykają się nazwiska debiutantów w gronie ludzi o imionach, reprezentujących zdobyte już odcinki literackiego poznania.

Nie wchodząc w szczegóły, wyliczymy sumarycznie tytuły rozpraw. Marja Dunajówna, która ogłosiła poprzednio pamiętnik „Z wygnania“ Tomasza Zana, przedstawia obszernie dzieciństwo i lata szkolne poety. Tadeusz Cieszewski skrupulatnie i umiejętnie kreśli fragmentarycznie znane dotychczas losy Bürgera w Polsce. Helena Hleb-Koszańska, autorka cennej pracy o M. Grabowskim, przypomina zasuniętą w cień postać Krystyna Lacha-Szyrmy i analizuje jego *„Letters literary and political of Poland“*. Zygmunt Falkowski wystąpił z paralelą literacką Elegij Rzymskich wejmarskiego poety i Sonetów Krymskich Mickiewicza. Czesław Zgorzelski ocenia motyw przyrody w opisach wędrówek po kraju w okresie romantyzmu. Wreszcie Władysław Arcimowicz, subtelny komentator Norwida, przywraca do czci zapomnianego krytyka lat poromantycznych, Antoniego Marcinkowskiego (1823—1880). W dziale materjałów Czesław Bobolewski podaje kilka interesujących pozycyj ze spuścizny rękopiśmiennej Ludwika Wł. Spitznagla. Sprawozdanie z działalności wileńskiego Koła Polonistów w latach 1922 — 1932 pozwala przyjrzeć się szczegółom naukowej i samokształcącej pracy towarzystwa.

Zdobią księgę naczelne *„Corollaria* Mickiewiczowskie“ pióra prof. Stanisława P i g o n i a. W owej wiązance mickiewiczianów, autor — jakże bardzo kompetentny — rozświetla szereg momentów w twórczości poety: ustala właściwego adresata wiersza: „Do K R.“, którym okazał się Konstanty Rdułtowski, nie zaś, jak sądzono, Karolina z Rzewuskich Sobańska, ocenia echa Szekspira w Sonetach Krymskich, wreszcie na

marginesie „Zdań i uwag“, wskazuje niektóre ich źródła i podniety myslowe.

I oto z kart, na których w umiłowaniu tych samych czasów, sprzymierzyły się wytrawne badania znakomitego profesora i pierwsze kroki studenckie, idzie ku nam urok osobliwy i świeży. Wdzięk księgi odnajdziemy w drobnym napozór szczególe: w dwóch dedykacjach. Prof. Pigoń rozprawę swą poświęcił Kołu Polonistów U. S. B. — „na pierwsze dziesięciolecie pracy“, Koło zaś Polonistów złożyło w hołdzie całą księgę swemu twórcy, prof. Stanisławowi Pigoniowi, opiekunowi prac towarzystwa. Ów dwugłos dedykacyjny zdradza nam niejedno w atmosferze polonistycznej młodego Wilna.

T. M.

LITERATURA DUŃSKA

NIE POPRZESTAJĄC na zgłębianiu różnych okresów literatury polskiej, Stefan Kołaczkowski nierzadko zajmuje się literaturami obcemi; z obcych zaś najwięcej upodobał sobie skandynawską. Szereg jego rozpraw o twórczości Hamsuna ma niezaprzeczoną wartość naukową i stanowić musi punkt wyjścia dla każdego, ktoby autorem „Wiktorji“ naprawdę u nas chciał się interesować. Jednakże ostatniemi czasy największą uwagę poświęcił Kołaczkowski literaturze duńskiej, której znajomość u nas dotychczas była wprost mizerna (zwykle zaczynała się i kończyła na Chr. Andersenie — z przeróbek dla dzieci). Artykuły o Jakobsenie, Kierkegardzie, Grundtvigu utorowały mu drogę do opracowania całokształtu „Literatury duńskiej“. Otrzymaliśmy ją niedawno (nakł. Trzaski-Everta-Michalskiego) w postaci jednego z tomów „Literatury powszechnej“ redagowanej przez Dr. Stanisława Lama.

Wobec szczupłości miejsca (50 str. in 4^{0}) autor oczywiście musiał być nader zwięzły, co miejscami nawet doprowadzało do pewnej jakby encyklopedycznej oschłości, zwłaszcza w końcowym rozdziale. W każdym razie mamy pierwszy polski podręcznik literatury duńskiej, prawdziwie wartościowy i pożyteczny. Kołaczkowski stara się uwypuklić te fakty literackie, które oddziałały najbardziej na literaturę europejską. Średniowiecze ukazał w najbardziej charakterystycznych działach (Edda, Saxo Grammaticus, pieśni ludowe), treściwie ujął (mało oryginalną) epokę humanizmu i reformacji; szerzej omówił dopiero „epokę Holberga“, która—dzięki wszechstronnej działalności tytułowego jej przedstawiciela—dała początek narodowej literaturze duńskiej; zasłynęły w niej nazwiska Wessela i Ewalda, ale wielkość dał jej dopiero romantyzm przez Baggesena, Oehlenschlaegera, Grundtwiga, Heiberga, H. C. Andersena, Paludan-Müllera („Adam Homo“) i Kierkegaarda.

Po romantyzmie idzie „okres przełomu“, zapoczątkowany przez Brandesa; reprezentuje tę epokę szereg pisarzy, z których jednakże tylko Jakobsen trwa pod znakiem Brandesa — inni się rychło emancypują. Tu należy największy liryk duński, Holgar Drachmann, laureaci Nobla Gjellerup i Pontoppidan, a wreszcie symboliści, z Joergensenem na czele. Nowsza literatura duńska—mimo wybitnych postaci (Jensen, Kundsen, Andersen-Nexö) — mniej wyraziste ma już oblicze i mniej waży na losach literatury europejskiej.

Trzy pozostałe literatury skandynawskie — islandzką, szwedzką i norweską — opracował we wspomnianem wydawnictwie p. Birger Calleman. Opracowanie nieco odmienne — gdyż poświęcono tu więcej miejsca literaturze dawniejszej, a w nowszej nieraz poprzestano na nader lakonicznych wzmiankach (np. o Heidenstamie). Autor, jako cudzoziemiec, nie zawsze wyczuł, co specjalnie powinnoby w literaturze skandynawskiej zainteresować Polaka, znającego własną literaturę. Zbyt wiele miejsca (stosunkowo) poświęcono podrzędnej dla nas sprawie dwujęzyczności literackiej Norwegji. Pozatem jednak książka jest naprawdę zajmującą, zwłaszcza, że zdobią ją ciekawe i dobrze wykonane ilustracje. Całość „literatury powszechnej“ mało albo wcale nie ustępuje słynnemu „*Handbuch der Literaturwissenschaft*“ redagowanemu przez O. Walzella, owszem w niejednym względzie może z nim śmiało rywalizować.

J. B.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Setna rocznica powstania listopadowego, niedawno święcona, zaznaczyła się również uroczystością odsłonięcia tablicy ku czci Węgrów, którzy wystąpili w r. 1831 w obronie praw polskich. Chwila nadawała się jak rzadko do historycznych wspominek. Adrjan Divéky wypowiedział odczyt „Węgry a powstanie listopadowe“, który ukazał się także w wydaniu książkowem.

Dr. Adrjan Divéky, docent Uniwersytetu Warszawskiego, uczynił zadaniem swego życia studjum stosunków polsko-węgierskich, któremu oddaje się wytrwale. Już rozprawa doktorska Adrjana Divèky'ego, o której w r. 1911 zdawał sprawę warszawski „Przegląd Historyczny“ przynosiła nieznany zarys stosunków handlowych polsko-węgierskich w w. XVI. Odtąd każda nowa publikacja wybitnego uczonego posuwała rzecz dalej; każda też była etapem w rozwoju wzajemnych stosunków naukowych, coraz bardziej żywych i coraz mniej przygodnych.

W bibljografji swych prac dr. Divéky ma za sobą poważną książkę „Węgry a Polska w XIX stuleciu“, 1919 i w niej cały rozdział poświęcony refleksom sprawy polskiej w r. 1831 na gruncie węgierskim. Odczyt obecny jest rekapitulacją i rozszerzeniem niektórych ustępów tamtej książki. Przynosi interesujące szczegóły historyczne: Niepodległa opinja węgierska, kierowana przez ludzi, których imiona brzmiały jak programy (Ludwik Kossuth i inni), współczującą troską, naprzekór polityce Metternicha, otoczyła sprawy i rzeczy polskie w ciężkich listopadowych latach. (T. M.).

*

Ukazał się tom pierwszy „Monografji statystyczno-gospodarczej województwa Lubelskiego“, wydawnictwa, znajdującego się pod redakcją prof Ignacego Czumy. Na tom pierwszy składają się następujące rozprawy: Wstęp historyczny, napisany przez dr. Kazimierza Sochaniewicza, Zarys fizyczno-geograficzny województwa Lubelskiego przez dra Tadeusza Mieczyńskiego, Podział administracyjny województwa Lubelskiego przez dra Wita Klonowieckiego, stosunki ludnościowe województwa Lubelskiego przez dr. Zofję Daszyńską-Golińską, Ludność województwa Lubelskiego z punktu widzenia jej zróżnicowania rasowego przez dr. Eugenję Stołyhwową, Djalektologja, przegląd gwar województwa Lubelskiego przez dra Władysława Kuraszkiewicza, wreszcie Zarys etnograficzny województwa Lubelskiego przez dra Adama Fischera. Książka zawiera bardzo wiele cennych danych, dotyczących Lubelszczyzny. (J. P.)

*

Wyszedł X tom „Poradnika dla Samouków“, mianowicie „Zoologji“ t. II. (Warszawa 1932. Str. X - 554. Cena 18 zł. Wyd. Kasy im. Mianowskiego). Znalazły się w tym tomie: Histologja (S. Maziarski, prof. Uniw. Jag.), Fizjologja zwierząt (K. Białaszewicz, prof. Uniw. Warsz.), Embrjologja (E. Godlewski, prof. Uniw. Jag.) i Psychologja Porównawcza zwierząt (Anna Bohn - Drzewina, redaktorka znanego pisma „*Année Biologique*“ w Paryżu). Autorzy artykułów udzielają wyczerpujących wskazówek, jak należy studjować wymienione dziedziny zoologji. Dzieło przeznaczone jest dla poważniejszego studenta, nauczyciela, pracownika instytucji badawczej, lekarza uczonego-specjalisty w dziedzinach pokrewnych.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Do książek o Goethe'm, związanych ze stuletnią rocznicą jego zgonu, zaliczyć można także świeżą pracę Leona Daudet'a p. t.: „Goethe i synteza“ („*Goethe et la Synthèse*“. *Paris. Editions Grasset*).

Leon Daudet, jest oddawna gorącym wielbicielem twórcy „Fausta“, którego uważa za jednego z największych i najzupełniejszych ludzi, jakich ziemia wydała. W poświęconem mu studjum podziwia Daudet „mądrość“ Goethe'go, mądrość syntetyczną, będącą wynikiem ograniczenia własnych wzruszeń w zgodzie z bezmiarem swojej inteligencji badawczej. Podług Daudet'a, życie Napoleona naprzykład było wielkiem „rozproszeniem“ *(dispersion)*, rodzajem krwawego sztucznego ognia, podczas gdy życie Goethe'go osobliwem skupieniem wizyj jasnych i zrównoważonych. Wszystko, czego umysł jego dotknął stawało się natychmiast uniwersalnem. Był to literat Renesansu, a zarazem uczony tej epoki, chciwej poznania. Myślał on, harmonijnie i niebezładnie, prawie o wszystkiem jednocześnie, co jest—jak twierdzi Daudet—najlepszym sposobem słusznego myślenia. Jak Leonardo da Vinci, jak Mistral, z którym Goethe posiada wiele punktów stycznych, przedstawia on najwyższy stopień rytmu syntetycznego, w przeciwieństwie do rytmu frenetycznego Napoleona. Od dwóch wieków, zdaniem Daudet'a, istniał jeden tylko most między germanizmem i łacińskością, tym mostem był właśnie Goethe. Studjum Daudet'a obfituje w mnóstwo tego rodzaju, jak wyżej przytoczone, świeżych niebanalnych poglądów na Goethe'go. (W. I.)

*

Ernest Seillière, zasłużony badacz dążności mistycznych oraz „choroby romantycznej“ dziewiętnastego wieku (Czwarty tom z serji „Filozofija Imperjalizmu“ nosi tytuł: „*La Mal Romantique*“; w innem dziele p. t.: „*Les Mystiques du néo-romantisme*“, Seillière bada ewolucję tego, co nazywa „pożądaniem mistycznem“), wydał świeżo dwa tomy studjów p. t.

„Le Romantisme et la Politique“ i *„Le Romantisme et la Morale“*.

Treść tych studjów jest bardzo urozmaicona. Są tu rozprawy, poświęcone Joannie d'Arc, Proudhon'owi i innym postaciom historycznym, są także badania wszelakich prądów mistycznych, jak np. „mistyki naturystycznej“. Czytelnika polskiego zainteresować może najwięcej rzecz o „romantyzmie politycznym“ polskim. (W. I.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

DEKRETEM Pana Prezydenta Szkoła Sztuk Pięknych w Warszawie została przemianowana na Akademję. Stało to się w roku dziesiątym istnienia uczelni. Trudno zwłaszcza w dziedzinie historji sztuki, kształtować jej okresy li tylko na podstawie dat i nazw; w danym wypadku taki zbieg okoliczności skłania nas jednak do próby spojrzenia wstecz. Nowa nazwa zamyka jakby okres życia uczelni w dawnej szacie, zamyka po dziesięciu latach. Jakie będzie następne dziesięciolecie, po jakiej linji pójdzie dalszy rozwój Szkoły? Mnożą się znaki „na ziemi i na niebie“, stwierdzające aktualność takiego pytania. Niemal wszycy profesorowie Szkoły Sztuk Pięknych, otwartej w 1922-gim roku, przybyli do niej bezpośrednio, lub pośrednio, z Krakowa. Byli spadkobiercami tradycyj tego, tak zasłużonego sztuce polskiej, miasta, tkwili w jego atmosfesze artystycznej, Nie było by dziwnem, gdyby, w takich warunkach, Szkoła Warszawska stała się jakby filją Akademji Krakowskiej. Tymczasem jesteśmy świadkami wręcz odmiennego zjawiska. Szkoła Sztuk Pięknych wkrótce stanęła w rzędzie najlepszych uczelni artystycznych w Polsce (i Europie), i weszła w te szeregi jako placówka o zdecydowanie własnem, odrębnem obliczu. Zasięg jej wpływów począł rozszerzać się daleko poza mury uczelni, w naszem życiu współczesnem zaczęła spełniać rolę nietylko szkoły, ale i warsztatu twórczego sztuki polskiej [1]). Bez przesady można ją nazwać twórczynią naszej sztuki dekoracyjnej lat ostatnich, autorką pojęć panujących w tej dziedzinie. Z jej pracowni malarskich wyszedł cały szereg wybitnych dziś stowarzyszeń artystycznych („Bractwo Św. Łukasza“, „Ryt i t. d.“). Najwybitniejszym reprezentantem dążeń Szkoły w zakresie sztuki dekoracyjnej był prof. Jastrzębowski, w zakresie malarstwa — prof. Pruszkowski. Trudno przesądzać, w jakiej mierze zostało tu zrealizowane zagadnienie stylu polskiego, to pewna jednak, że jeśli chodzi o odrębność, poczynania Szkoły Warszawskiej miały w sobie ducha polskości, w odróżnieniu od Akademji Krakowskiej, tak bardzo przesiąkniętej obecnie „Paryżem“ i jego międzynarodową ideologją malarską. Czy wszyscy byli entuzjastami takiego stanu rzeczy (w Warszawie) — niewiadomo, dość, iż od pewnego czasu sytuacja zaczęła ulegać coraz wyraźniej zarysowującej się zmianie. Zmianę taką w polityce byłoby daleko łatwiej określić. Nazwalibyśmy ją poprostu pójściem na lewo. Niestety, lub może na szczęście, sztuka wymaga bardziej czułych narzędzi mierniczych i wymyślniejszych definicyj. Postaram się naszkicować historję tego... tego... nno nie mówmy przewrotu, bo to byłoby zbyt dramatycznie. Zaczęło się całkiem niewinnie, poprostu. Z Krakowa przyjechał i objął pracownię sztuki dekoracyjnej, po ś. p. prof. Trojanowskim, Leonard Pękalski. W swoim czasie pisałem o tem w „Myśli“. Wydawało mi się, że prof. Pękalski ze swojemi odmiennemi poglądami na istotę dekoracyjności będzie pożądanem urozmaiceniem w warszawskiej kuźni „jastrzębowszczyzny“. „Szczypta soli, szczypta cukru“, jak mówią nasi cukrownicy. Okazało się jednak, iż niewinnej szczypcie wyznaczono raczej rolę tarana, mającego uczynić wyłom w wytworzonych tu i chyba w owocach swych zasłużonych dla sztuki polskiej pojęciach o kompozycji malarstwa dekoracyjnego i ornamentyce. Wślad za Pękalskim przybył z gromadką swych uczniów, również z Krakowa, prof. Kowarski. Obaj nowoprzybyli reprezentują współczesne nastawienia artystyczne grodu podwawelskiego, jak wiadomo silnie ciążącego ku Paryżowi [2]).

Są oni w nikłym oczywiście stosunku ilościowym do reszty pedagogów szkoły, jednak ich wpływu nie można mierzyć wyłącznie tą miarą. Jak dawniej „pruszkowiacy“ i „szkoła“ Jastrzębowskiego, tak teraz oni chcą reprezentować uczelnię, nadawać jej ton, stwarzać atmosferę, którą mają oddychać nietylko sami, lecz także ich koledzy z sąsiednich pracowni. W związku z tem dają się zauważyć zmiany i w systemie nauczania. Jedną z nich jest zbyt wczesne dawanie zbyt wielkiej swobody uczniom. Młodzież zamiast przezwyciężać trudności, zamiast borykać się z tem, co jej idzie najtrudniej, wkuwać się jednem słowem, uprawia to, do czego ma w danej chwili największy „dryg“.

Wyobraźmy sobie np., iż młody uczący się śpiewak b. ładnie bierze, jak to się tam mówi, górne cis. „Ślicznie to robisz kochanku“, powiada nauczyciel i dalejże zachęcać pupila. Pupil tryluje, pedagog jest rozczulony, słuchaczom to się podoba—wszyscy są zadowoleni. Ale jaka stąd korzyść? Popisywanie się to nie nauka. Dalej. Wiadomo, iż zadaniem ucznia nie jest tworzenie dzieł sztuki, a raczej przygotowywanie się do tego zadania. Dlatego w szkole powinien kopjować, studjować naturę, poznawać ją wszechstronnie, zapamiętać raz na zawsze. Otóż część młodzieży Akademji Sztuk Pięknych czas przeznaczony na poznawanie natury traci na jej interpretację. Interpretacja ta dokonywana w takim wieku, przy podobnych zasobach wiedzy, gdy nie nastąpiło jeszcze skrystalizowanie się indywidualności, z natury rzeczy musi być zapożyczona. Ułatwiają to bibljoteki, zaopatrzone w szereg miesięczników artystycznych całego świata. Pierwsze słowa wypowiada się często w języku obcym. I tutaj trzeba zwrócić uwagę na dziwne conajmniej stanowisko naszych krytyków. Gdy w swoim czasie członkowie „Bractwa Św. Łukasza“ kształcili się na klasykach, wielki z tego powodu panował rwetes. Teraz, gdy młodzież sięga do wzorków paryskich, niezawsze nawet ustalonej wartości — wszystko jest dobrze! Gdyby warszawska Akademja dalej szła w tym co obecnie kierunku i w takiem samem tempie, przyszły historyk sztuki rozdział w swej książce jej poświęcony musiałby zatytułować: „Od sztuki ludowej do międzynarodowego szmoncesu“. Na szczęście jeszcze jesteśmy w połowie drogi,

---

[1]) Sukces nasz na wystawie Sstuki Dekoracyjnej w Paryżu był właściwie tryumfem Szkoły. Szt. Piękn. — jej metody wychowawczej. profesorów i uczniów,

[2]) Wprawdzie układ kompozycyjny malowideł „szkoły“ Pękalskiego wspiera się często na dobrych tradycjach kultury łacińskiej, ale technika i ujmowanie kształtu niewiele już mają z nią wspólnego.

a ostatnia wystawa sygnalizuje szereg pomyślnych objawów. Powstrzymane zostały zbyt ryzykanckie. Widać już pewne miarkowanie krańcowych tendencyj i chęć nawrotu w szranki poważniejszych studjów. Dlatego też nie pozbawiamy się nadzieji, że profesorowie Szkoły, znakomici i zasłużeni pedagodzy, już jako profesorowie Akademji uczynią wszystko, aby następne dziesięciolecie uczelni było dla sztuki naszej również owocnem jak i poprzednie.

Na wystawie wyróżniały się poważnie ujętą metodą nauczania pracownie profesorów Bartłomiejczyka, Skoczylasa, Breyera, Stryjeńskiego i Jastrzębowskiego. Pracownia prof. Pruszkowskiego zaleca się większym niż poprzednio umiarem, w pośpiesznem kreowaniu uczniów na dojrzałych artystów.

WIKTOR PODOSKI

OFENSYWA

DONNA KRZYWICKA, „*THE DEVILS DISCIPLE*"

Motto;

Życie przepływa koło nich jak coś obcego, niezrozumiałego, nienawistnego; widzą tylko genitalia, bodaj na gipsowym posągu. Chorzy ludzie!

Boy-Żeleński

Z CAŁEJ szkółki, z całego zakonu, z całej mykwy reformacji seksualnej najciekawsza, z bardzo prostego powodu, bo najprzystojniejsza. Tego rodzaju fekalja i horrendalja jak pani Tylicka wypisuje, wypisują sobie dziś po wielkich miastach przeważnie babska brzydkie jak Gorgony, rozwścieklone macinnicznie z tego powodu, że ich ani blondynowie ani brunety nie napastują. Tym razem wprost przeciwnie. Kobiecinka wcale, wcale, bardzo, bardzo, a pomimo tego opanowana od czubka do piętek podwzrotnikową zachłanną pasją gorszenia, gorszenia za każdą cenę, pasją oburzania „do żywego", ściągania gromów i mobilizowania przeciw sobie całej „rozwścieklonej reakcji", średniowieczczyzny. Co to śliczne biedactwo nie poczyna, nie wyprawia, nie wypisuje, żeby tylko podrażnić „hydrę" zastoju, zacofania i parafiańszczyzny, żeby stugłową bestję kołtuństwa i łykostwa myślowego i pojęciowego wywabić z nory, rozwścieklić, zrucić, zwaliwszy na siebie, i dać się rozszarpać albo przynajmniej podszarpnąć.

Za dawnych dobrych czasów już dawno prowadzonoby ją publicznie na stos czyli jak Warmuth Eleazar śpiewał do Racheli... „prowadzę cię na sztos". Jeżeli nie... autodafefe, to przynajmniej troszeczkę popławionoby w Wiśle jako czarowniczkę za to że urzeka męszczyznów a błędne owce wyprowadza na manowce. Teraz „w naszej dobie tworzenia się nowej etyki seksualnej i nowych form życia" mogą sobie te bajadery Budhy, te emancypanterki, te ofenbachantki, perwersjonistki, „uczennice Szatana", pochłaniaczki Lindseya i Russella wypisywać całymi kolumnami co im się tylko żywnie podoba... a dokoła cisza, spokój, mores, respekt, miejscami dyskretne oklaski i okrzyki jak w „Adrji": mało! jeszcze mało! jeszcze mało!

I kobitony w jodwabnych reformach seksualnych pod spodem wysilają się dalej jak mogą. Poprostu jak siłaczki w Cyrku na kobiecym meczu „ciężkiej wagi"...

Więc tedy *championetta* Krzywicka-Tylicka pisze:

„Trudno sobie wyobrazić zdrowszą lekturę dla młodych dziewcząt niż właśnie powieści Zapolskiej, walczące zawsze i ciągle z nieświadomością i głupotą, z obłudą i kłamstwem, już nietylko wołające ale wprost użerające się".

albo:

„nie uważam by powieści posiadające intensywne sceny erotyczne miały być z tego względu nieodpowiednie dla młodzieży, raczej przeciwnie, bo nigdy potem nie czyta się już z takim smakiem wszystkich opisów" (o „Emancypantkach" Prusa).

albo:

„Gdyby Georgette Leblanc rozeszła się po dziesięciu latach z Maeterlinckiem, nie narobiłaby skandalu swemi pamiętnikami, nie wytaczałaby mu publicznych procesów. Być może, nie wolno popełniać tej zbrodni, aby przez dwadzieścia lat żyć z jednym człowiekiem..."

albo:

„Dziś ciocia baronowa zapisałaby dziewczę do paru klubów sportowych i zaprowadziłaby na dancing, gdzie je już fordancer nauczy właściwych ruchów.

albo:

„niezdrowa atmosfera poświęcenia przytłacza odrazu stosunek" (w szkicu o „Pamiętniku hrabiny d'Agoult).

albo:

„lewica odziedziczyła wszystkie uprzedzenia purytańskie po Chrześcijaństwie"...

albo:

„Natomiast perypetje uczuciowej, czystej, pięknej i surowej Rozy, która z nudną dumą gęsi odpiera wyznania miłosne b r a t a s w e g o m ę ż a, są na poziomie przeciętnej powieści angielskiej".

albo:

„Jest jakaś bezradność w jej stosunku do spraw erotycznych, zmieszanie i zdumienie wobec wszystkiego co godzi w schemat małżeństwa. Zbroi się we wszystkie przesądy grzechu, honoru, dumy kobiecej (pojętych bardzo prymitywnie) gdy tylko na horyzoncie pojawi się inny mężczyzna" (o „Pani Hjelde" Sigrid Undset).

albo:

Jej „Metta Trapp", kobieta mająca troje dzieci, r o z m y ś l n i e k a ż d e z i n n y m m ę ż c z y z n ą, — to ciekawa ilustracja do przewidywań Russella; każdą kobietę zastanowić musi ta książka" (o powieści Karin Michaelis).

albo:

„Pan i dziewczyna" jest zresztą jedną z lepszych, harmonijniejszych powieści Karin Michaelis. „Pan" jest z papieru, zato „dziewczyna", choć wyidealizowana, ale wzruszająca. D o ś ć z a b a w n y jest brat owej dziewczyny-służącej, obiecujące chłopię, uczone bezpłatnie na koszt miasta, chluba rodziny i całej okolicy, który wydostawszy się wreszcie na uniwersytet do stolicy, załapuje bogatego „pedeka" idzie z wdziękiem do niego na utrzymanie, podczas gdy siostrze, zaplątanej w życiu, nie pozostaje inne wyjście jak samobójstwo".

i t. p. i t. d.

Takich dość zabawnych perełek dla wieprzów jest stosunkowo bardzo dużo.

Napisze taki passus ładniutka donna Irena i czeka. Na co czeka? Na resztę? Nie! na echo! na rezonans, na aferę!.. 25 lat temu tak po każdej książeczce swojej czekał i czekał całymi okresami Wacio Grubiński; on też miał ambicję gorszenia i epatowania warszawiaków, aczkolwiek dziś wobec donny Tylickiej-Krzywickiej to jakby dziewczątko z „*Sacre Coeur*" czy naiwny gimnazista. Ale jak 25 lat temu po produkcjach Wacia Grubińskiego, tak teraz po „*danse du ventre de la Femme Satanas* jakoś cisza na sali, słuchają z respektem, tu i ówdzie oklaski, ale żadnych świstów, gwizdów, protestów, awantur, „preczów". Już się otrzaskali z tem wszystkiem, Donna gwiżdże na moralność, na wierność, na czystość, na dziewictwo a... oni (czarnosotieńcy!) gwiżdżą na... zgorszenie. Najbardziej „otwarte traktowanie chorób wenerycznych proklamowane przez świetną stylistkę z „Wiadomości Obojnackich" nie wyprowadza z równowagi tych obłudnych klerykałów, tych „szamanów strojących się w szaty świętości". Jeżeli „*advocatus Diaboli*" jest taki uroczy, to mu wszystko wolno i zawsze ma rację. Co innego, gdyby o pederastaquerach czy super-wersjach rozpowiadała nam pani Tylicka. Wtedy: *stop!* Wtedy zacięta obrona „kodeksu obyczajowego" i „mieszczańskiej moralności" i dawnych prastarych szablonowych metod i systemów kopulacji oraz precz z bezwstydem! precz z rozparszaniem! hańba ekshibicjonizmowi! dość tych świnoderji i knurolatrji!.. Natomiast, gdy gorszycielka trzyma fason, wymanikurowana, wypedikurowana, wymakillazowana, włoski i włosięta powyrywane gdzie trzeba i wogóle *tip-top!* no to niech się kobiton wygada, niech sobie ulży, niech nas gorszy, tylko młodzieży wstęp wzbroniony a starsi panowie niech słuchają, ba nawet mogą się przysunąć bliżej do estrady...

I oto największy życiowy zawód czarującej zawodniczki. Ani gromów, ani łomów, ani wygrażań pięściami, ani „zapienionych rozwścieczonych twarzy", ani „gniewnej zaciekłości". ani wyklinań z ambony, ani inkwizycyj, ani wogóle niczego. *Laissez faire! laissez passer!*

No i nie zazdrościć tu teraz takiej George Sand lub nawet Zapolskiej nieboszczce? Ile się wtedy naoburzali i napomstowali Faryzeusze. Ale jaka z tego się rodziła podnieta twórcza i niewieście naprzekór i żądza replik, walki, kłótni, udry na udry. Błogosławionaż to ta epoka strupieszałej obłudy, hipokryzji, pruderji, sznurówek, *dessous* barchanowych,

dziewictwa stuprocentowego, saloników w Macedonji i mac połamanych w Salonikach, epoka w której atoli gdy jakaś *bas-bleu* czy *precieuse radicale* napisała „Przedpiekle" (kobiet) lub: „To czego się nie wyciąga", to się gwałt robił u mężczyźniaków i odrazu można było zostać tak sławną jak teraz lada *lady* dyskopolka lub szybkobiegunka...

Gorszy atoli ambaras jest z tem, że ten cały proceder (kierunek) pisarski, który uprawia donna Irena jest już wogóle, cokolwieczek ciężko *demodé* Lindsey, Russel, *companionate marriage*, pedecja, Nevada, fordansery, gigolatis, przerywanie w ciąży, konwersacja salonowa o bubonach u Bourbonów to był fason z sezonu 1930 na 1931. To wszystko wtedy pachniało nie tylko hormonami ale i wiosną, nowalje. Jak to jednak już dawno kiedy Clement Vantel pisał swoje „Szalone kobietki", „Pani nie chce mieć dzieci"... it.p.

Ale już 9 miesięcy temu profesor W. F. Edgerton z Chicago *(Illinois)* udowodnił naukowo, że próbne małżeństwa były wprowadzone za Ptolomeuszów w Egipcie, 2000 lat temu.

Poczem przyszło na Paryż i na Amerykę właśnie maniactwo robienia dzieci co się wlezie, rozwody jako *bad form i schocking*, „nie przerywanie aktu", długie suknie, Strausowskie walce, nawet matki karmiące dzieci, nawet... warkocze! nawet wierność małżeńska!! Słynna nowoyorska „gorszycielka" professoryalna miss R e b e k a West, dostarczycielka (wraz z „Samsonem" Rafałowiczem), homosexualnych i lezbijskich komedyjek dla *Guild-Theater*, na jakiś czas poszła nawet do kryminału. Natomiast najpopularniejszą jest teraz jednak Marta Ostenso sławna od swoich „Dzikich Gęsi". Freudyzm przestał być piłą snobów i nazywa się teraz wprost „*Jewisch Science*". Na dyspucie publicznej Russela z Andersonem na temat skasowania rodziny i wychowywania dzieci w olbrzymich—obozach, cała publiczność i cała prasa wypowiedziała się przeciw ekscentrycznemu dziwakowi.

Kiedyż donna Dalila wezmie do rączki świetną Rozy Maculay „Opowieść Idjoty", gdzie na glanc wyszydzone zostały środowiska takich akurat rozbrykanych Menad jak ta z „Adryi", takich kokoszek z Bojowego Epikurnika, i taki hedonizm nieco haremowy a nieco zamtuzowy i takie uproszczone „ułatwione życie" (w szkołach, w windzie, w Fordzie) i te wszystkie nowe *(new-yew)* zasady, nowe metody, ideały... gały, nowa moralność, nowa wolność, nowa panmiscuicja.

Przydałoby się też naszej apostołce orgiazmu, gorgonowizmu, pryapolatrji, zadyzmu (od sad nie od Sade) zapoznanie się z ostatnią sztuką laureata Nobla Jacentego Benawente, gdzie ostro zerżnięty sexualny amoralizm Judyt i Dalil.

No, a jak to nie wyleczy z suggestji i fascynacji Swengalego ze Smolnej, to możeby tak *Trilby* przeczytała do poduszeczki powieść Julji Wasserman: „Upadek Mieszczanki". Toże z rasy Sary i Betsabe a jakże daleka od Salomek, pląsających na nagusa przed Herodami. Jeżeli już nasza, raczej *miss* West, niż Margarete Sanger nie może trawić angielskich i skandynawskich powieści, jeżeli dostaje już migreny po Undset lub Charlotte Broute, to może da się przekonać autorce, która zapewne jako dziewczę kąpała się w mykwie przesądów i zabobonów, potem też bywała w kawiarnianych „modernych" Bethamidraszach a jednak zdołała się z czasem wyzwolić z pod narkozy berlińskich Boyów, przyłączyła się do Goyów i napisała powieść... p r z e c i w, R e f o r m a c j i S e x u a l n e j"... przeciw vulgivagizmowi... przeciw Menadom... przeciw „przerywaniu", przeciw „zastarzałemu neomaltuzjaniuzmowi z r. 1930, przeciw małżeństwom z samochodu, przeciw kawiarnianym w a m p o m i przeciw snobizmowi deprawatorskiemu. Powieść ma tytuł „Upadek Mieszczanki".

Bohaterka nosi pono imię Romana... dość częste i u Judytek z nad Wisły... Mąż architekt (zapewne uczeń Corbusiera) jest wyznawcą zasady „*save your line*" i każe Romanie nie mieć dziecka. A ona chce mieć dziecko. Widocznie nie czytała „konsystorskich dziwek" i „Piekła Puszczalskich". Żona Wassermanna opisuje tragedję tego małżeństwa i... z a n i k a n i e i n d y w i d u a l n o ś c i osobowości kobiecej przez n a k a z a n e — dobrowolne wyrzeczenie się potomstwa... Romana kończy pono samobójstwem... to jest moda powieściowa n a s e a s o n 1931/2.

Przypomnimy sobie jeszcze jak to cieszyła się z posiadania dziecka z... Gojem *la belle Sara*, bohaterka i autorka powieści madame Loevy („O mon gwy!")...

Nie. Nie traćmy nadziei, że i pani Krzywicka wnet wyzbędzie się przedpotopowych i pachnących paczulą i formaliną poglądów z *anno* 1930, kiedy to dla pisania studjum o twórczości Zapolskiej wizytowała i „wywiadowała" różnych starszejszych jegomościów podejrzywanych ongiś o przelotny romansinek...

Na razie jeszcze pani Krzywicka — tkwi po pas, po pasek, w pętach niewoli mędrca Syonu z ul. Smolnej. Boy i Bajadera. Zasłonił jej cały horyzont. Widzi w nim coś z Bayarda a coś ze *Sa von* - Arola...

Po przeczytaniu atoli jej prześlicznej pracy a propos broszury dr. Szenajcha o Florencji Nightingale, można mieć pewność, że ten talent pięknie się rozwinie jeszcze i w innych kierunkach. Musi się tylko wyleczyć z tego babskiego, Boyskiego typowo krakowskiego bajkowania i plotkowania o tem „czy miał ją czy nie miał jej" czy ją zdradzał i z kim ją zdradzał? czy ją wziął i ile razy ją wziął, czy Oskar Wilde „także i z kobietami"? czy Lew Tołstoj zamęczał żonę, czy był dla niej dobry, czy Maeterlinck był p o t e n s czy... s t e r i l i s? czy Zapolska kochała swoich kochanków czy tylko lubiła, czy wszystkie siostry w „gminach" Towiańskiego miały stosunek z mistrzem czy tylko młodsze... i t. p. i t. d...

Wszystko to są problemy i dylematy rozpalające głównie pokojówki i szoferów a także praczki piorące d e s s o u s i manikurzystki. Ongiś wyszydzał to wścibstwo pod kołdrę i obwąchiwanie bidetów nagminie u kumoszek krakowskich. (Moja pani... moja pani) niejaki Boy-Żeleński, podkpiwając też z detektywizmu erotycznego u... Hoesicka.

Poczem sam to wprowadził do literatury i zrobił na tem „błyszczącą karjerkę" w Judosławji. Jest pierwszym pisarzem judosławnym.

Ale żeby tak inteligentna osóbka i tak oryginalny intellekt jak pani Krzywicka, tak długo tkwił i popasał „pod czarem" jednego i tegosamego proroka, równocześnie domagając się dla kobiet prawa do „co rok to inny prorok", to doprawdy skandal! shocking! vieux jeux! parafjańszczyzna! zacofanie, przedpotopowe! neanderthal... diluvial...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Podobno ma się ukazać wkrótce w opracowaniu A. Moraczewskiego i Jaworowskiego a nakładem BBS studjum p. t. „Socjologiczne podstawy Dintojry i wogóle współpracy na Kercelaku". System Tasiemki genetycznie wywodzi się z połączenia tradycji bojówek rewolucyjnych z ideą walki klas. Kupcy na tym placu wyzyskiwali w okrutny sposób „pracowników" zawodu złodziejskiego, nabywając od nich przedmioty z trudem i ryzykiem życia nieraz zdobyte. Pracownicy ci byli bezsilni, kupcy bowiem każdej chwili mogli ich wydać w ręce sprawiedliwości. Nadeszły jednak lepsze czasy i stosunek się odwrócił. Kupcy musieli zgodzić się na wszelkie warunki, aby ich nie wskazano jako paserów i nie przeszkadzano nadal uprawiać wyzysku. Dintojra była instytucją rodzimą, nieznaną dotąd socjologom. Niestety, w ustroju burżuazyjnym wolna twórczość napotyka niespodziane przeszkody. Wystarczyła mała zmiana w konjukturze politycznej, wymuszona przez kapitalistów, aby ta genjalnie pomyślana nadbudowa nad handlem narażona była na szykany. A jednak idea Dintojry nie zginie, bo jest zbyt żywotna w Polsce. Kercelak musi być wciągnięty do współpracy z całością wbrew przesądom reakcji.

*

Z zainteresowaniem bierzemy do ręki ilustrację warszawską, gdzie wielka fotografja zbiorowa mężów stanu, obradujących w Genewie: Mac Donald, Herriot, von Papen itd., ale oko nasze porywa z brzegu stojąca figura uśmiechniętego Augusta Zaleskiego. Uśmiech dziwnie niepokojący brakiem wyrazu. Ale co znaczy cylinder na głowie, gdy inni mężowie głowy mają odkryte (i otwarte)? Czemu p. August jedyny w żakiecie, gdy inni w marynarkach? Czemu wreszcie p. August, mając cylinder na głowie, trzyma jeszcze w ręku jakiś kapelusz?

Ach, to agencja miejscowa nalepiła figurę p. Zaleskiena postać niemieckiego ministra spraw zagranicznych! Porównywamy z ilustracją zagraniczną—tak jest, to właśnie niemiecki kapelusz: p. Neurath na chwilę zniknął i dał kapelusz p. Augustowi do potrzymania.

Taki fotomontaż mógłby zabawić, gdyby nie był tak bardzo upokarzający. W ten sposób dorabiamy sobie powagę! Prasa pragnęłaby nie budzić nas ze snów o potędze. Poczciwa! Ale czy ta uśmiechnięta postać w żakiecie daje złudzenie potęgi?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.